Manifestacye warszawskie w 1861 roku.

Za zezwoleniem Cenzury Niemieckiej.

MANIFESTACYE WARSZAWSKIE w 1861 r.

Z DODATKIEM

„ŚPIEWÓW NABOŻNYCH"

(1861)

W WARSZAWIE
Sumptem Gebethnera i Wolffa
w Styczniu
1916.

Odbito

U WŁ. ŁAZARSKIEGO

pod kierunkiem

ZYGMUNTA ŁAZARSKIEGO

łamał K. R. Fiedler, odbijał Al. Węgierowski, składali: Wł. Chrapkowski, M. Drapczyński, I. Poniatowski, A. Sossko i Miecz. Starzyński.

PRZEDMOWA.

Garść wspomnień narodowych składamy ci, Warszawo, garść wspomnień krwawych i bolesnych, ale zarazem dostojności i powagi godnych. Pół wieku przewiało nad głowami pokoleń; w mogiłach leżą uczestnicy tragicznych zdarzeń, posiwiały ich dzieci, zrodzone po ostatniej wichurze, a w sercu twem, Warszawo, żyją wciąż te obrazy, zaklęte w twoją krew serdeczną, związane z każdą myślą o przeszłości, obleczone w żałobną szatę męczeństwa.

Wszyscyśmy od dziecka wsłuchiwali się w ciche, szeptane przy ognisku domowem, opowiadania matek i ojców naszych. Pięciu poległych... Strzelanie pod zamkiem... Pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego... Zamknięcie Kościołów... oto co wpadało w dusze dziecięce, aby w nich pozostać na zawsze.

A dziś, po latach wielu, mamy możność przypomnieć społeczeństwu otwarcie i jawnie to o czem dokładnie wiedzieć powinno. Czynimy to z radością, pewni, że książeczka niniejsza nie przeminie bez śladu, że przywoła wizye pamiętnych dni i każe bardziej jeszcze kochać tę krwawą, szaloną może, lecz jakże bohaterską epokę.

„Manifestacye warszawskie w 1861 r."

obejmują najważniejsze momenty charakteryzujące dokładnie nastrój Warszawy owych czasów. Uzupełniliśmy książkę illustracyami, rzadkiemi dziś niezmiernie. Jako zaś dodatek dołączamy do każdego egzemplarza przedruk, fotograficznie wierny, „Śpiewów nabożnych 1861 r." stanowiących dziś pierwszorzędną rzadkość bibliograficzną. Niechże książeczka ta idzie do serc polskiej Warszawy, niech ją pokrzepi na duchu w godzinie ciężkiej próby. Niech mówi wnukom o wielkich marzeniach dziadów.

CYTADELA WARSZAWSKA.

OBRAZ WIĘZIENIA STANU ZEWNĘTRZNY I WEWNĘTRZNY.

(Opis „Cytadeli warszawskiej", wyjęty z niezmiernie barwnych i żywo pisanych „Obrazków caryzmu" Gordona, nie należy wprawdzie do epoki powstańczej, datuje bowiem z 1848 r., rozpoczynamy jednak od niego książkę niniejszą ze względów następujących. Cytadela warszawska od roku 1848 do 1861 nie zmieniła się prawie wcale: system, wygląd, ludzie nawet pozostali ci sami. Wspomnienia Gordona zaś, kreślone pod bezpośrednim wrażeniem, dają dokładny obraz tych udręczeń fizycznych i katorg moralnych, które były cechą Paskiewiczowskiej epoki i które pośrednio wywołały ruchy manifestacyjne i powstańcze.)

Bramę otworzono. Ujrzałem się pośród jednopiętrowego gmachu, zbudowanego w kształcie kwadratu, którego wewnętrzny dziedziniec był przedzielony drewnianym parkanem. Pierwszy podwórzec i oficyny go okrążające, napełnione były żołdactwem, przeznaczonem do pełnienia różnych obowiązków więziennych. Tutaj to przywiedli mię do jednej z izb sklepionych na dole, dokąd przybył kapitan od żandarmeryi, Żuczkowski — znany przez

więźniów pod nazwiskiem Moroka, sławnego szarlatana z powieści Sue — i pierwsze słowa jakie usłyszałem, były:

„Rozbieraj się pan do naga“!

Gdy, posłuszny rozkazowi przemocy, stanąłem w postaci Adama przedpotopowego, oddalono mię od sukni moich i odbyto najściślejszą rewizyę: szukano między palcami rąk, nóg, we włosach pod pachami, w ustach. Potem oddano mi bieliznę, obuwie, tużurek, palto — popruwszy i przetrząsnowszy je należycie — resztę zaś, jak kapelusz, szelki, chustkę i t. d. — tudzież wszystkie drobiazgi kieszonkowe, kosztowności i pieniądze, zatrzymano u siebie.

Potem, Morok mruknął do żandarmów:

„Numer 44“.

I domyśliłem się, że moje nazwisko zmieniło się na „Czterdzieści cztery“. A gdy mię wyprowadzali:

„Na okna się nie drapać; po ścianach nie bazgrać!“ — rzekł.

„Ale czem? — zapytałem — wszak nie mam nic!

„O, o, o!“ — była jego odpowiedź.

Następnie, na dane hasło, furtka w parkanie się otworzyła, i postrzegłem z drugiej strony sierżanta na warcie, i sołdata z kluczem w ręku. Przeszedłszy drugi podwórzec, wstąpiłem do głównego korpusu gmachu.

Cichość w nim panuje, bo tu każdy myśli; stąpasz mimowolnie na palcach, z uszanowaniem, by nie przebudzić cieni żyjących męczenników — prze-

strach ogarnia na wstępie w te miejsca. Po obu stronach na pół ciemnych korytarzy, uderzają oko: rzędy drzwi, jedne przy drugich, numerowane, opatrzone żelaznymi ryglami, z wiszącym na każdych kluczem, i z okienkiem, zasłonionem blaszaną klapą.

Są to pieczary wielkiego grobowca, zbudowanego dla myślicieli.

Izba 44-ta otworzyła swą paszczę przedemną i zawarła się za mną — rozbrat ze światem! Co się wówczas we mnie działo wyrazić nie zdołam.

Ujrzałem się w małej, zatęchłej celi, malowanej na zielono. Zmrok w niej panował, choć dzień był jasny na bożym świecie; szyby okna, acz wielkiego, zamazane były całkowicie grubemi, z obudwu stron, warstwami gipsu; a gęste kraty dodawały ciemności.

Były tu cztery kąty, piec piąty, i łoże ze słomianą poduszką, pokryte brudną, flanelową kołdrą. Oto moja kwatera!

Utykając czas jakiś po niej, ległem na twardym sienniku, czując się mocno strudzonym długą bezsennością, myślą i podróżą.

Jaki zaś był stan mój moralny, ten objaśnię, jeźli się da objaśnić, następującem wspomnieniem:

Parę lat temu, przejeżdżając około Niagary, słyszałem w wagonie opowiadającego Amerykanina, że Indyanin, zapędzony burzą na prąd tego wodospadu, gdy raz się ujrzy na nim, kładzie się spokojnie w łodzi, nakrywa głowę gunią, i pędzi wolą wiatrów na złamanie karku, bo już nie ma dla niego ratunku. Otóż, z zimną rezygnacyą na wszystko

co mię spotkać może, powiedziałem sobie: Kto tu zagrązł, nie powraca — i zmrużyłem obojętnie powieki na przygody losu.

Opiekuńcza władza, zapewne przewidując, że nie miałem apetytu, nie znalazła się gościnnie, bo mi tego dnia jeść nie przysłano.

Ale za to wieczorem, gdy na chrzęst zaporów, nagle przebudzony, nie opatrzywszy się gdzie jestem, zerwałem się z posłania, drzwi się otworzyły, warta z kilku sołdatów otaczała je w półkole po na zewnątrz, pod przewodnictwem dyżurnego żandarma, a weteran, posługacz, wszedł do komnaty, nasypał kupkę piasku na środku podłogi, i postawił na niej zapaloną łojową świecę, w glinianym lichtarzu. Tego samego wieczora, gdy służba zajęta była tem roznoszeniem piasku i światła, usłyszałem z prawej i lewej strony mojej celi, jakoteż z sufitu, pewne, miarowe stukania, zdające się coś wyrażać: lecz nie mogłem zrozumieć tego nowego dla mnie języka murów — i ze smutkiem pomyślałem, że zająwszy numer po kimś, zapewne biegłym w tej sztuce, przeciąłem mimowolnie komunikacyę, jedyną pociechę nieszczęśliwych.

Na pół rozmarzony, udając się stanowczo na spoczynek, obaczyłem w mem łóżku prześcieradło krwią zbroczone. Na ten widok, do drzwi zapukałem, żandarm przybiegł, powiedziałem mu żeby natychmiast dał znać komu należy, by prześcieradło przemieniono.

Uśmiechnął się tylko, żądanie moje zostało bez odpowiedzi i skutku.

Zaledwie zacząłem na nowo usypiać, znowu, z podobnemi jak poprzednie formalnościami, drzwi się rozwarły z łoskotem, weteran wchodzi, tą razą z nożycami w dłoni, aby objaśnić świecę, i to, pozostawiając knot swędzący w stancyi.

Za kilka minut znowu taż sama historya! Patrzyłem na nich, jak na nocne, przeszkadzające larwy prześladowania! I proszę sobie wyobrazić, że przez wszystkie nocy całego roku mego pobytu w cytadeli, larwy te, co kilka minut, snuły się z operacyą około knota, gorejącego u nóg moich, jak przy nieboszczyku.

Nie piszę tu romansu; pióro moje jest maczane w sumieniu i prawdzie — z tą książką gotów jestem stanąć na sądzie ostatecznym!

Nazajutrz rano ból głowy męczył mię niesłychanie. Przyniesiono bułkę chleba i butelkę wody. Później wpada żandarm i woła: „Odiewatsia do Komisyi! prędko, prędko, prędko“! Jak gdyby tam, Bóg wie, co ważnego było. W cytadeli wszystko jest skierowane do sprawiania przestrachu więźniowi.

Gdy się ubierałem co tchu i wyszedłem, jeden piechur z karabinem staje z przodu, drugi z tyłu za mną — dyżurny żandarm przy pałaszu „Taszczy“! woła i pędzi nas przez różne korytarze na pierwsze piętro, unikając wszelakoż aby z drugim takimże konwojem, prowadzącym innego więźnia, przypadkiem się nie spotkać; aby więźniowie się nie obaczyli. — Gdy w innym korytarzu kogoś przeprowadzają, wtedy drzwi takowego zamykają mi przed nosem na czas potrzebny.

Na każdym korytarzu, sołdaci składający warty, w liczbie równej ilości stancyi więziennych, siedząc oddziałami, powstawali w szeregi za ukazaniem się mojem, trzymając karabiny, wsparte o podłogę, przed sobą. Zdziwił mię nadzwyczajnie ten tryb ich postępowania, zdawało mi się z początku, że broń prezentują — że to są jakieś szydercze honory; ale za bliższem przyjrzeniem się, dostrzegłem, że to forma ostrożności — że każdy żołnierz trzyma ręką za bagnet u wierzchu lufy, gdyby przez obawę, by mu go nie zerwano.

Ileż w murach tej wielkiej kostnicy zajść musiało okropnych wypadków, które posłużyły wrogom za lekcye doświadczenia w ich działaniach, a dla nas są pokryte kirem, może wiecznej tajemnicy!? —

Gdym przybył przed wielkie drzwi komisyi śledczej, żandarm kazał mi się zatrzymać, a sam przyłożywszy ucho do dziurki od zamku, pomruknął, że nie pora jeszcze. — Oczekując, zamknął mię w przyległym numerze, gdzie nic nie było, wyjąwszy mnóstwa brzozowych pęków.

Nareszcie mię przyzwano. Zmiana dekoracyi. Ujrzałem się w sali, w pośrodku której przy wielkim stole, nakrytym zielonem suknem, siedziała pyszna trójca, a mianowicie: na pierwszem miejscu, błyszczący w złotych naramiennikach i przy orderach, jenerał Jołszyn, jako słońce — a obok niego pułkownik żandarmów Leichte i major Szwajkowski [1]),

---

[1]) Wypędzony ze służby za łajdactwo, ze stopniem jenerała, w r. 1860.

jako dwa niebieskie satelity. — Skłoniłem się trójcy na prawo i lewo, a słońce ozwało się do mnie, po polsku:

„Co pan tu porabiasz?“

„Proszę mi pozwolić oznajmić, że w ciągu niespełna jednej doby, postępowanie ze mną w cytadeli, pomijając podróż jaką odbyłem, tak mię znużyło, że nie jestem w stanie, nie mogę odpowiadać dzisiaj na żadne indagacye.“

„Jakie postępowanie? — co to znaczy?“

„Tak, jenerale. Morzą głodem zaraz na wstępie — dają pościel po jakimś trupie czy kalece — całą noc wpadają jak mary, pod pozorem objaśniania świecy — a przytem, zachcialo się żołnierzom straszyć mię, jak dzieciaka, zamykaniem do składu rózg. «Niezasłużony, ale szczęśliwy» dodałem z gorzkim uśmiechem.

„Pościel ja każę oczyścić; co do innych pretensyi, jak świecy, to jest zwykły tutejszy porządek. — A teraz, masz pan tu kilka arkuszy papieru, zacyfrowanych moją ręką. — Odpoczywając, pisz sam swój protokuł. — Zostawiamy mu wolność zupełną.“

I na tych słowach, zawróciłem się do wyjścia.

„A propos, czy pan już po kawie?“

„Nie, jenerale.“

„To można kazać sobie przynieść a conto własnych funduszów, jeźli masz z sobą takowe.“

„Dziękuję!“

Po tej wstępnej rozmowie, powróciłem do mej klatki.

Za chwilę, Morok, czyniąc zwykły ranny obchód więzienia, przyszedł z księgą i ołówkiem w ręku.

„Jak się mają?“ — rzecze, poglądając na kraty i ściany.

„Kto jak się ma?“

„Pan.“

„Dziękuję; dobrze.“

„Czy czego nie potrzebują?“

„Kto?“

„Pan.“

„Kawy, z rozkazu jenerała.“

Morok na stronicę 44 kawę wprowadził — i niezadługo, jakieś fusy pod nazwiskiem kawy, zjawiły się z jego kuchni, za które drożej, jak za mokkę w kawiarni u Zuzi, zapłacić sobie później kazano.

NAPISY NA MURACH.

Popiwszy tedy fusów, zacząłem rozpatrywać się bliżej w nowem mieszkaniu; a nazwyczaiwszy już nieco oczy do zmroku w niem panującego, postrzegłem wyraźniej ściany podrapane w około i poznałem, że to wszystko były, jużto świeżo, już dawniej zacierane napisy, w różnych językach—jakoteż nazwiska osób, które na pierwszym wstępie nie uderzały wzroku. W zakątkach jednak, jak między kaflami pieca, na nogach łóżka, pod krawędziami okna, i t. d., dostrzegłem jeszcze mnóstwo, już to napół zatartych pyłem czasu, już całkowitych napisów, które, zwłaszcza wieczorem, za przybliżeniem świecy, stawały się czytelnymi. Oprócz

napisów zwykłemi literami i rysunków, znajdowałem także — podobnie jak we wszystkich innych celach, dokąd mię później przenoszono — wiele wierszy kropkowanych dziwnym rozkładem. Mniemałem więc, że pod temi nowoczesnemi hieroglifami utajone myśli spoczywają, i że to jest język piśmienny porozumiewania się między więźniami — podobnie jak pukanie zastępować im musi ustny.

Ale jak dojść do nauczenia go się samemu? Oto zagadka.

Oczekując jej rozwiązania, pójdźmy odgrzebywać myśli oryginalne i z różnych autorów wzięte, wyrażone po większej części w języku aniołów, w poezyi a rzucone na martwe mury tej Pompei, która pochłonęła tylu ziomków naszych. Któraż z polskich rodzin nie opłakiwała tam kogoś blizkiego jej sercu?

Oto jego słowa:

„W lochu ciemnym, wilgotnym,
Więzień na słomie leży;
K' woli chwilom samotnym,
Pamięcią w przeszłość bieży,
I co kochał, co lubił,
Czemu duszę poślubił,
Z czem myśl, życie skojarzył,
O wszystkiem — wszystkiem marzył.“

„Dulce et decorum est pro patria mori.“

„O luba Polsko! krwią zbroczona niwo,
Los zajrzał twoim wawrzynom;

Ale im więcej jesteś nieszczęśliwą,
Tym jesteś droższą twym synom!“ —

„Skoro nieszczęście dni twoje zachmurzy,
Uzbrój się cnotą i męztwem zuchwałem;
Cnota prawdziwa nie lęka się burzy,
Rozpacz jest tylko słabym dusz udziałem.“

„A kto wszystko za kraj stracił,
Kto Ojczyźnie służył szczerze,
Ten spokojny i w Sybirze;
Bo część długu już opłacił!“

„Księże! Czy ty znasz moskiewskie batogi?
Czy wicsz, że wszelka władza od Boga pochodzi?“

KSIĄDZ.

„Wiem, że i władza szatana od Boga pochodzi.“

„Wszystko mi, wszystko, niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy odebrać nie mogą.“

„Skazany zostałem dnia — do ciężkich robót do Nerczyńska, na całe życie.“

„O! oddajcie mi moje ułudzenia stare,
Miłość — nadzieję — i wiarę!“

„Niewinnie cierpiałem.“

„Z prochów naszych powstaną mściciele."

„Bonaparte powiedział, że gdy dusza jest chorą, potrzeba ją leczyć, jak się leczy rękę albo nogę. Ja krzepię ducha mojego jedynie nadzieją."

„Niech przepadnie świat, a niech istnieje sprawiedliwość!"

„Będą ci pokazywać oskarżające cię protokóły z podpisami twych kolegów — nie wierz! — żądaj naocznej konfrontacyi."

„Czyż ty żyjesz jeszcze Feliksie?"
„Żyć czy nie żyć?"
„Czyż dane mi życie jest mą wyłączną własnością?
„Co wolno było Katonowi, niewolno Chrześcianinowi."

„Za przeszłością żale ronić,
W obecności cierpieć skrycie,
Za przyszłością nie śmieć gonić,
Ach — to jest śmierć, takie życie!"

„Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwie hydrze,
W młodości zdusi Centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.
Hej! ramię do ramienia! — "

„Śpią po mogiłach mężni bracia moi"
A do mnie nawet sen się zbliżyć boi."

„Bo jadłem świata gorzkie, zatrute kołacze,
To mi ciężko na sercu i dla tego płaczę;
A jeśli się rozśmieję, to jak za pokutę,
A jeźli będę śpiewał, to na smutną nutę,
Bo w mojej zwiędłej twarzy, zamieszkała bladość;
Bo w mej zdziczałej duszy, wypleniono radość.

. . . .

Jest trosków, kolców, bolów, nie mało w tem życiu,
I więcej, niż na jawie, płynie łez w ukryciu.
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.“

„I w słowie własnem zaparłem siebie.“

„Na Saskim Placu, siedmiu kpów,
Strzegą cztery orły, ośm lwów!“

„Poczekajta-no kopułki!
Przyjdą jeszcze z Francyi pułki;
My nie chcemy obcej wiary,
Wrócą nasze i Pijary.“

„Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał być zwycięzcą na widowniach fali,
W tem go nagle do portu porywają wody;
Wybiegł na ląd żeglarz młody
I odpoczął na mogile,
I już nie pojechał dalej.“

„Z piekła rodem Katarzyna,
Moskalami nas zalała.“

„Myśl o was, jak trupią woń.
Będą odganiać potomni,
Będą schylać smutną skroń,
Ile razy kto was wspomni:
— My nie mieli przodków, nie. —
Rzekną, kryjąc wstydu łzę.“

„Nasze zagrody wywracają kury,
I dachy nasze runą nam na głowy;
Kamień i glina i piasek gotowy
Złóżmy je w jedno, a ujrzymy mury.“

„Wszelkie Królestwo, wszelkie miasto i wszelki dom rozdzielony w sobie, nie ostoi się i upadnie.“

„Do jedności więc przedewszystkiem. Bracia! do jedności!“

„Komisya czyha, by nas poróżnić i w mętnej wodzie ryby łowić.“

„Panie Boże! Ojcze nasz!
Który jesteś w niebie:
Ty potrzeby nasze znasz,
Błagamy więc Ciebie.
Niech będzie wola Twa święta,
Przyjdź Królestwo Twoje Panie,
Skrusz jarzmiące Polskę pęta,
Daj wolności panowanie.“

---

i t. d.

Ale następujący wiersz szczególniej mię zaintrygował:

„O mes amis! Le retour serait doux!
Je voudrais aimer et vivre encore;

Mais s'en est fait. Ce ciel que j'aimais me dévore,
Plaignez-moi mes amis, car je meurs loin de vous."

Byłyż to słowa Francuza umierającego? — Przyniesienie mi obiadu o południu, przerwało poszukiwania. — Siadając do stołu i na nim postrzegłem cieniutko wyryty napis: „Testament. Wysuń szufladkę, przewróć, i odskrob zaschły chleb w szparze". Łatwo się domyśleć, że przystąpiłem natychmiast do odszukania testamentu. Znalazłem stalowy trzpieniek, podobny do osi wydobytej ze sprzączki, i na jednym końcu zaostrzony. Nie mogąc zrozumieć jego znaczenia, z uszanowaniem zachowałem go nazad, w przekonaniu, że wielce użytecznym będzie, skoro mój poprzednik aż testamentem go leguje.

Nie darmo Żuczkowski powiedział: „po ścianach nie bazgrać". Wzięła mię teraz ochota połknąć jego drugi owoc zakazany: na okno się wdrapać; i ugóry, w lufciku, zrobić obserwatoryum; lecz, że okno było wysoko, a wasserzupka stygła, wziąłem się najprzód do drewnianej łyżki.

NAUKA JĘZYKA MURÓW.

Znowu upływały dni i tygodnie, a zawsze byłem w jednem położeniu; ale jakaż to dola samotnego więźnia? Zamknięty w ciasnej kazamacie, krąży w niej, dopóki znużony nie padnie na łóżko z westchnieniem. Nie raz zdawało mi się, że mam ogień w głowie; to znowu wycieńczony na siłach, wpadałem w letargiczny spoczynek, i godziny całe schodziły mi na gnuśnem leżeniu, z utkwionemi

oczyma w sufit, bez zrobienia najmniejszego ruchu ciała. Czasami, uniknąwszy czujności żandarma, wdrapałem się na okno, aby wyjrzeć na świat. Słodycz, z jaką wciągałem w siebie powietrze, tylko więzień uczuć może, a żadne pióro wyrazić jej nie zdoła. Wtedy myśl, czyby nie można się jako wymknąć z fortecy, świtała w głowie — czyby nie udało się, wychodząc kiedy z komisyi, odziać się płaszczem i furażerką jednego z audytorów? — Próżne złudzenia! Byłem pod wpływem tych marzeń, gdy kastaniety — tak nazywałem pukania mych współ-towarzyszów niedoli — odezwały się nademną, bo do mnie przestano oddawna pukać--nie chciano zapewne narażać się, a bezkorzystnie.

„Wielki Boże! Ty, któryś zmieszał języki pysznych w Babelu, a ukazał płomieniejące nad głowami apostołów, daj mi dar słowa“!

Po tej modlitwie, postąpiłem do ściany i zapukałem zcicha. Sąsiad odpowiedział podobnym znakiem, i znowu powtórzył to, co już od kilku tygodni czynić zaprzestał, to jest, posunął czemś pięć razy po ścianie, jakby znacząc pięć linii, jedna pod drugą. Cały w słuch i uwagę się zamieniłem, i znowu zapukałem. Wówczas uderzył zwolna 23 razy i zamilkł.

Wydobyłem natomiast z ukrycia żelazny sztyft — zostawiony Testamentem — i w pięciu liniach rozłożyłem 23 głosek alfabetu — następnie, wyszukując potrzebne do składania wyrazów, w sposób, jak się wyszukuje liczby w tablicy Pitagoresa, zacząłem znowu, lecz na ten raz systematyczne, pukanie.

Sąsiad zrozumieć mię jeszcze nie mógł, ale w sposobie jego odpukania, przebijała się radość z mego postępu w nauce.

Przypuszczałem, że alfabet przyjęty w cytadeli, jest skrócony, skoro składa się tylko z 23 liter, i że w skracaniu go właśnie była przyczyna mojej pomyłki, ale że dojść do celu muszę.

Z tem mocnem postanowieniem, udałem się weselszy na spoczynek. Nazajutrz rano, posługacz przyniósłszy, wedle zwyczaju, miskę z wodą, wyszedł na korytarz — umywając się, postrzegłem krzyżyk, wydrapany na jej polewie. Na ten niezwykły znak, podniosłem ją i obaczyłem na boku, określone tajemnicze abecadło — przez sąsiada — w rozkładzie następującym:

	1.	2.	3.	4.	5.
1.	a	b	c	d	e
2.	f	g	h	i	k
3.	l	ł	m	n	o
4.	p	r	s	t	u
5.	w	y	z.		

Zatarłem je, a zaledwie miskę zabrano, aby ją ponieść do następującego numeru, podstąpiłem do ściany i wypukałem „dzień dobry“. Kolega odpowiedział: „dzięki Bogu“!

Gdyby ktoś udoskonalił teleskop do tego stopnia, że obaczyłby po raz pierwszy ludzi, lub inne jestestwa na jakim planecie, nie ucieszyłby się może tyle, ile ja z mego odkrycia.

Łatwo czytelnik zrozumie zastosowanie powyższego abecadła tak do pukania, jako do pisania.

Naprzykład, chcąc wyrazić głoskę i, uważam, że zajmuje ona czwarte miejsce w drugim szeregu: oznaczam ją więc c z t e r e m a i d w i e m a kropkam (˙ : : ˙) i t. p.

Imię Jan, wyrazi się więc, jak następuje:

˙ : : ˙ : ˙ . ˙ . ˙ . ˙

Łatwo także się domyśleć, że, mogąc rozmawiać za pomocą stukania, trzymając się wyłożonej tu zasady, można porozumiewać się i kaszlaniem, chrząkaniem, świstaniem, a nawet śpiewem, czyniąc w ostatnim pewne przestanki.

Otóż znośniejszą stała się niewola, gdy mogłem o szarej godzinie zamienić, chociaż z trudnością, słów parę z kolegą.

Lecz w niewoli trudno jest znaleźć czystą uciechę, bo i w tym razie podejrzenie zatruwało mi onę. A jeżeli sąsiad jest narzędziem podstępnych badań? Myśl ta rozdzierała mi serce. Jakże smutno domyślać się na każdym kroku zdrad i zasadzek! widzieć w otaczających cię samych tylko wrogów — czuć ciągle trwogę, nawet na odgłos bratniej, choć niewidomej dłoni — a jednakże trwoga ta, z natury rzeczy, musi męczyć więźnia, i usprawiedliwioną później została podejściami, jakich się na mnie dopuszczała komisya.

Raz mój dobry kolega zapukał: „Ty głodny musisz być, mój bracie kochany. Jeźli już złożyłeś protokół, poproś Moroka o pieczeń i jarzynę. W ich polityce jest, ażeby ich prosić“.

Z razu, niepodobała mi się ta rada; zastanowiwszy się jednak, pojąłem, że rozumie on, ile głód dokuczać mi musi — i jakkolwiek ze wstrętem, obróciłem się nazajutrz z prośbą, czyli raczej formalnością prośby, do Moroka.

„Zkąd pan wiesz, iż tu pieczeń dają?“ zagadnął, utkwiwszy we mnie badawczo oczy.

„Codziennie zapach sosu mię zalatuje.“

„Hum — sosu“ — bąknął, zatrzaskując drzwi za sobą, i już był na korytarzu, a jeszcze: so — su — so — su! słyszeć się dawało.

(„Obrazki caryzmu“ — Pamiętniki J. Gordona — Lipsk, 1843.)

PIĘCIU POLEGŁYCH.

W Warszawie, a zwłaszcza w dzielnicach, zamieszkałych przez ludność rdzennie warszawską, mieszczańską, drobno przemysłową i robotniczą, wrzało jak w ulu. Nastrój wszystkich tych warstw był jakby gorączkowy. Przed kościołem zaczęły się odzywać głosy, nawołujące do śpiewania pieśni patryotycznych, które w niezliczonej liczbie egzemplarzy, wraz z portretem Kilińskiego, rozrzucono między przechodniów; głuche wieści zapowiadały na dni kilka przedtem zbiorowiska w kościele i na Starem Mieście. Jakoż dnia 25 lutego po raz pierwszy usłyszałem zaintonowane u OO. Karmelitów na Lesznie (dzisiejszym kościele N. P. Maryi) pieśni: „*Boże, coś Polskę*“ i „*Z dymem pożarów*“.

Wychodzącym z kościoła młodzież szeptała do uszu, żeby się gromadzić wieczorem na Starem Mieście, a wkrótce hasło to rozeszło się po całej War-

szawie i między stałą ludnością miejscową, i pomiędzy przybyłymi z prowincyi.

Zaciekawieni podążyliśmy tam później już wieczorem. Zastaliśmy zaraz przy wyjściu na ulicę Ś-to Jańską tłumy ludzi; przecisnąwszy się do rynku Starego Miasta, niedaleko słynnej kamienicy Fukiera, znaleźliśmy się w tak strasznym ścisku, że o wydobyciu się stamtąd pomyśleć nie było można. Wkrótce zjawiła się żandarmerya konna, i policya, wzywając tłum do rozproszenia się; zjechał też ówczesny oberpolicmajster Trepow, wzywając obecnych do spokojnego rozejścia się. W odpowiedzi ktoś z tłumu rzucił nań kawałem zmarzniętego błota, ale zwarte szeregi ludzi i napływające wciąż masy ludu z uliczek, dotykających Staromiejskiej ulicy, czyniły wszelki ruch powrotny wprost niemożliwym.

Wtedy na rozkaz oficera, żandarmerya, dobywszy pałaszy, zaczęła płazować masy, zbite w jedną prawie kupę; oberwał tam wprawdzie i niejeden, co tylko na gapia przyszedł, ale, w rezultacie, błysk białej broni, krzyki strwożonych kobiet i nacieranie końmi na trotuary utorowały drogę żandarmeryi i policyi do środka rynku Starego Miasta i zapobiegły dalszemu napływaniu ludu z uliczek bocznych, które w jednej chwili zamknięte zostały.

Po paru godzinach gęsty i zimny deszcz, czy też mgła, jakaś przejmująca, dokonały reszty, i tłumy rozeszły się do domów.

Całą noc krążyły gęste patrole, niemniej jednak przez całą noc ruch uliczny nie ustawał, jedni bowiem szukali krewnych, inni znajomych, o któ-

rych aresztowaniu przeróżne, acz przesadne wieści krążyły.

Wszystko to podniecało coraz więcej rozgorączkowane umysły i było jakgdyby przedwstępem do jakiejś poważniejszej akcyi.

Jakoż niedługo dała ona czekać na siebie.

Dnia 27 lutego odbywało się w sali Namiestnikowskiej ostatnie posiedzenie Tow. Rolniczego. Było to przed południem. Podczas dyskusyi ozwał się nagle głos na sali znanego mi Narzymskiego.

„Panowie tu sobie spokojnie o teoryach radzicie, a tam, na ulicach, krew się leje!“

Powstała straszna wrzawa na sali, wszyscy poruszyli się z miejsc i pędzili na Krakowskie Przedmieście, ku Placowi Zamkowemu, gdzie już tysiące ludzi gromadziło się przed zamkiem. Rozpędzanie tłumów nahajkami kozackiemi nie osiągało skutku. Tłum potężniał coraz więcej, wrzawa rosła, a wśród niej odzywały się tu i owdzie pieśni pobożne i patryotyczne, nadające dziwny jakiś nastrój religijno-mistyczny całemu ruchowi. Tłoczyliśmy się trotuarem koło byłego domu Malcza (dziś już nie istniejącego), gdy nagle usłyszeliśmy szczęk broni maszerującego wojska i komendę, nakazującą strzelanie.

Wpadliśmy z Bolesiem Kłokockim do wąziuchnej sionki jednego ze starych domów na tej zwężającej się podówczas ulicy, gdy nagle padły strzały..

Wśród grobowej ciszy, jaka w tej chwili zaległa zbitą masę ludu, zaczęły się przedzierać jęki kilku osób rannych; równocześnie, gdy wojsko maszerować zaczynało dalej ku Zamkowi, podniesiono

z ziemi: Zdzisława Rutkowskiego, Marcelego Karczewskiego (obywateli ziemskich), inżyniera Wittego, rzemieślnika, Karola Brendla i ucznia, Michała Arcichiewicza, owych pięciu poległych, których nazwiska krwawo zapisały ów dzień w kronikach 1861 r. Na noszach z lasek i parasoli dźwigała młodzież owe pięć ofiar, a za niemi kobiety, mężczyźni i masa młodzieży biegła, wołając o pomstę za niewinnych i maczając chusty w ich krwi, za sprawę ojczyzny przelanej. Wprawdzie były to ofiary, niestety, prostego wypadku tylko, bo mógł tak dobrze każdy zdobyć ową palmę męczeńską, ale manifestacya, krwią okupiona, wyzyskana była wspaniale przez tych, którzy ją dla pobudzenia ducha zorganizowali.

Zawrzało w całem mieście jedno hasło zemsty i nienawiści. Poległych złożono w salce Hotelu Europejskiego, i zaczęła się pielgrzymka tysięcy ludzi, pragnących rozpoznać nieszczęśliwe ofiary. Przez ulice, dotykające Hotelu Europejskiego, przecisnąć się nie było można. Cały plac Saski roił się od ludzi. Młodzi i starzy, matki i dzieci, wszystko, co żyło, wylegało na ulicę, w jakiemś dziwnem rozgorączkowaniu, podniecanem jeszcze przesadnemi, jak zwykle, opowieściami *naocznych* świadków o setkach zabitych i śmiertelnie rannych. Był to istny sądny dzień na ziemi.

Wracaliśmy w kilku do hotelu Europejskiego, gdy nagle na trotuarze kobieta cudnie piękna, blada... przerażona... bezprzytomna prawie, biegła z załamanemi rękami wprost naprzeciwko nas.

„Czyście gdzie mego męża nie widzieli?“ — zawołała rozpaczliwie.

Była to hrabina Władysławowa Kwilecka, która tego samego dnia do przybyłego razem z nami jej męża przyjechała, słysząc na prowincyi przesadzone nieco opowieści o rozruchach warszawskich. Nikt z nas narazie nie mógł dać jej jakiejkolwiek odpowiedzi, rozbiegliśmy się wszyscy po mieście i po półgodzinnej śmiertelnej trwodze odnaleźliśmy jej męża.

Przed Hotelem Europejskim rozgrywały się sceny pełne grozy i dramatyczności. Matki poszukiwały synów, żony mężów, siostry braci, a wszystko roznamiętnione, rozgorączkowane dziwnym jakimś szałem.

Tymczasem u prezesa Tow. Rolniczego odbywało się zebranie starszych członków Towarzystwa i kilkunastu korespondentów z prowincyi. W Resursie Kupieckiej zgromadzili się również wybitniejsi jej członkowie i po naradach w jednem i drugiem kole wybrano Delegacyę, złożoną z przedstawicieli różnych warstw społecznych, inteligencyi, arystokracyi, szlachty i mieszczaństwa, upoważniając ją do traktowania z księciem Gorczakowem o sposobach uśmierzenia wzburzonych umysłów.

Zgodzono się przedewszystkiem na uformowanie straży obywatelskiej, do której powołano i starszych, i młodszych mieszkańców stolicy, znanych z usposobienia poważniejszego, pewnego u ludzi zachowania oraz przybyłych na posiedzenie Tow. Rolniczego obywateli ziemskich. Oznaczono każdemu z nas rewiry, w których nocą patrolować nale-

żało, i zalecono uśmierzanie wszelkich zbiegowisk, hałasów i śpiewów, któreby przy podnieconym nastroju ludności starcie z władzą wywołać mogły.

Na pochwałę najmniej nawet oświeconej ludności Warszawy dodać należy, że zachowała się wobec nas z dziwną karnością i posłuszeństwem: o ile interwencya policyi drażniła i roznamiętniała tłumy, o tyle spokojnie, a grzecznie czynione przez nas uwagi osiągały natychmiastowy skutek. Przez całe noce, poprzedzające pamiętny pogrzeb, nigdzie prawie zajść żadnych nie było.

Nazajutrz po opisanych wypadkach prasa nasza, która dotąd uporczywie milczała w skutek zakazu cenzury, ogłosiła następującą odezwę Delegacyi obywateli m. Warszawy:

„W sobotę o g. 10 zrana odbędzie się pogrzeb „ofiar, poległych w dniu wczorajszym. W imię „miłości kraju, w imię najświętszych, najdroż„szych dla każdego z nas obowiązków wzywamy „mieszkańców, by cześć, oddawana ofiarom tym „w chwili pogrzebu ich ciał, odznaczała się „najwyższą godnością, najwyższym spokojem.

„Mieszkańcy Warszawy! wysłuchajcie tych „słów braci Waszych!

„Delegacya obywateli m. Warszawy.

„Ks. Wyszyński, ks. Stecki, jenerał Lewiński, Ksawery Szlenker, Leopold Kronenberg, Karol Bayer, Matias Rosen, Jakób Piotrowski, J. Ig. Kraszewski, Stanisław Hiszpański, August Trzetrzewiński, Józef Koenig, dr. Chałubiński“.

Poza tą odezwą, umieszczoną na czele wszystkich dzienników, szła odezwa Namiestnika Królestwa:

„Wezwania Władzy, do ulicznych zbiegowisk „ludu o rozejście się nie zostały usłuchane, „i w dniu wczorajszym kompania piechoty, „postępująca ku Krakowskiemu Przedmieściu, „gdzie rzucono na nią kamieniami, dała ognia.

„Celem wykrycia winnych tego nieszczęśli„wego starcia zarządziłem śledztwo.

„Nie będę tolerował gwałtów z żadnejbądź „strony. Spokojni obywatele winni wogóle „tłumnych zbiegowisk, obecnie częstokroć przez „knowania niebezpiecznych podżegaczów wy„woływanych, unikać i na wezwanie Władz „wykonawczych rozchodzić się, dla zapobieże„nia nieszczęśliwym wypadkom.

„Mieszkańcy m. Warszawy, nie poddawajcie „się zwodniczym zabiegom nieprzyjaciół po„rządku, starających się zaburzyć spokojność „publiczną, usłuchajcie głosu człowieka, pra„wość którego w ciągu 30-letniego pobytu jego „między wami mogliście ocenić.

podp. *X. Gorczakow*".

A dalej rozkazy, że z powodu słabości pułk. Trepowa obowiązki oberpolicmajstra powierzonemi zostały pułk. Demencal, i w ślad za tem rozkaz:

„Z polecenia J. O. Ks. Namiestnika, Warsz. „Wojenny Generał Gubernator, podaje do pu„blicznej wiadomości, że Generał Major Marg.

„Pauluzzi przeznaczony został na zawiadują-
„cego policyą warszawską.

podp. *Generał Adj. Paniutyn*".

Były to pierwsze zmiany w administracyi.

Nazajutrz Delegacya ogłosiła program pogrzebu, a w № 58 i 59 *Gazety Codziennej* ukazał się śliczny opis tej wiekopomnej uroczystości.

Obawiano się daty 2 marca, wyznaczonej przez Delegacyę na pochowanie pięciu poległych.

Władza zamierzała przedsiębrać jak najrozleglejsze środki ostrożności, a nawet skonsygnowanie wojska. Natomiast Delegacya była temu jak najbardziej przeciwna, obawiając się poważniejszych już starć ulicznych, zapewniając jak najuroczyściej, że, jeśli udział policyi i wojska będzie stanowczo wykluczony, ona odpowiada za spokój w mieście i za niczem nie zamącony porządek.

Zgodzono się na to i rzeczywiście nie zawiedziono się ani na chwilę!

Nadszedł dzień 2 marca—jasny, ciepły, piękny, słoneczny—zdawało się, że sam Pan Bóg błogosławił tej uroczystości narodowej, a przyroda dodać jej blasku pragnęła.

Od rana wszystkie sklepy chrześcijańskie i żydowskie, wszystkie lokale publiczne były, jak na największą uroczystość, zamknięte. Lud warszawski i jego warstwy oświeceńsze, motłoch żydowski i przedstawiciele sfer najwyższych, wszystko przystrojone odświętnie, w jednym nastroju zgody i powagi, oczekiwało pochodu, którego program był już

naprzód przez Delegacyę ułożony, przez Władzę zatwierdzony i wszystkim prawie znany.

Niezliczone tłumy zaległy ulice Krakowskie-Przedmieście, Czystą, Plac Teatralny, Bielańską i Nalewki, któremi kondukt, z kościoła św. Krzyża, po odbytem nabożeństwie, miał przechodzić. Mimo trwającej jeszcze zimy kalendarzowej, dzień ten był tak ciepły, tak słoneczny, że kobiety, jakby w lipcu, do figury były ubrane, a mężczyźni bez palt i z odkrytemi głowami kroczyć po mieście mogli.

Kolor czarny przeważał wszędzie, zaraz bowiem po manifestacyi 27 lutego proklamacye, rozdawane po ulicach, zalecały wszystkim mieszkańcom Warszawy żałobę narodową i przyodzianie czarnych czamarek, oblamowanych białą tasiemką na kołnierzu. Oporniejszych, którzy się w cylindrach na ulicy ukazywali, doprowadzano do porządku, odwracając szczotką włos do połowy cylindra, który wtedy, jakby krepą obwiedziony, robił wrażenie żałoby.

Gęstym szpalerem, tworzącym łańcuch nieprzerwany, rozstawiła się młodzież akademicka, sztuk pięknych i marymoncka po ulicach, któremi kondukt miał przechodzić, zostawiając środkiem ulic wolne obszerne miejsce dla przeróżnych korporacyi, cechów, starców i sierot Tow. Dobroczynności i uczniów wszelkich szkół, wreszcie duchowieństwa, postępującego przed trumnami, oraz rabinatu, idącego za zwłokami.

Nareszcie, kiedy dzwony kościołów obwieściły wyruszenie pochodu, zrobiła się cisza tak wymow-

nie piękna i uroczysta, że w tłumie całym niemal uderzenia serc posłyszeć można było.

Na czele konduktu szły niezliczone bractwa z jarzącemi świecami, cechy z chorągwiami, zakony, duchowieństwo z arcypasterzem Fijałkowskim, z biskupami Platerem i Deckertem na czele; w pewnym znów odstępie duchowni innych wyznań chrześcijańskich, rabini z kahałem, a wszystko zjednoczone bratnią miłością i przejęciem się ważnością chwili, która, jakgdyby odrodzenie się kraju i całego społeczeństwa, zwiastowała.

Poza tem płynęły niesione przez młodzież trumny ze zwłokami ofiar, czarne, skromne, z nazwiskami poległych, wybitemi na wieku srebrnymi gwoździkami, a mające za jedyną ozdobę palmy męczeństwa, na krzyż na wiekach trumien złożone.

Poza ciałami poległych postępowała rodzina, bliżsi znajomi, zatem tłumy, nie tłocząc się bynajmniej, ale utrzymując jeszcze wzorowy porządek, jakgdyby się przed władzami tą właśnie karnością popisać pragnęły.

Najmniejszego zajścia, któreby porządek naruszyło, najmniejszego zgrzytu, któryby zamącił panującą między wszystkiemi warstwami i wyznaniami harmonię nigdzie nie było. Cały kondukt żałobny był pochodem narodu, oceniającego ważność i powagę chwili, manifestacyą pełną jak najbardziej uroczystego nastroju, który nieprzyjaciołom nawet imponować był w stanie.

(„Kartki z mego pamiętnika" — Jordan [Juljan Wieniawski] — Warszawa, 1911.)

„KURJER WARSZAWSKI".

Piątek. $\frac{\text{17 Lutego.}}{\text{1 Marca.}}$ Rok 1861. № 57.

Jutro o godzinie 10-ej rano, odbędzie się exsportacja zwłok ofiar, poległych dnia 27-go b. m.; z Kościoła górnego S-go Krzyża na cmentarz Powązkowski. Program tej exportacji jest następujący: Orszak żałobny wyruszy z Kościoła po odprawionem Nabożeństwie, i postępować będzie ulicami: Krak.-Przedmieściem, Saskim Placem, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i t. d. Rozpoczną orszak: Sieroty i Starcy Warszawskiego Tow. Dobroczynności; za niemi postępować będą Uczniowie Szkół tutejszych; z kolei Cechy z chorągwiami żałobnemi i światłem jarzącem; dalej Duchowieństwo. Po za Duchowieństwem niesione będą ciała zmarłych, a za temi postępować będą przed karawanami Duchowni wyznania Mojżeszowego w właściwych ubiorach, i stosownie do swego obrzędu z nakrytemi głowami. Jakkolwiek spodziewany jest spokój i po-

rządek, przy tak uroczystym i smutnym obrzędzie, wszelako dla tem większej rękojmi utrzymania tegoż porządku, delegacja miasta i Komitet zajmujący się pogrzebem, przy pomocy dobranych osób, i młodzieży z Akademji Medycznej, ze Szkoły Sztuk Pięknych i Instytutu Agronomicznego, czuwać będą nad pochodem całego tego orszaku. Wzywa się przeto wszystkich, dobra kraju pragnących, ażeby: 1) Obywateli z szarfą żałobną na lewem ramieniu odznaczonych; 2) Akademików; 3) Uczni Szkoły Sztuk Pięknych; 4) Uczni Instytutu Agronomicznego, we wszelkich rozporządzeniach porządkowych, stanowczo słuchać zechcieli, zarówno przy samym pogrzebie jak i przy powrocie do domów. Obok tego uprasza się jak najusilniej Publiczność, ażeby nie gromadziła się zbytecznie w jednych miejscach, lecz zechciała się zbierać już to na obszerniejszych a przyległych placach, już na chodnikach wzdłuż całej linji, którą orszak żałobny postępować będzie, tak dla nietamowania pochodu, jako też dla tem większej własnej dogodności.

Ofiary, poległe w dniu 27 b. m., których pogrzeb odbędzie się jutro, są następujące: Marcelli *Karczewski,* Obywatel Ziemski, lat 55, z P-tu Sieradzkiego, Zdzisław *Rutkowski,* lat 23, Obywatel Ziemski z Jaszowic, z gub. Radomskiej; Technik *Witte*, Francuz, pracujący przy tutejszym moście; Karol *Brendel,* rzemieślnik przy warsztatach z fabryk żelaznych, i Uczeń *Arcichiewicz.*

Od dziś, od rana zwłoki tychże wystawione zostały w Kościele Ś-go Krzyża.

Delegacja Obywateli uprasza, aby w dniu jutrzejszym *Uroczystego Pogrzebu,* uprzątnięte i oczyszczone były wszystkie ulice, któremi Orszak przechodzić będzie, mianowicie od Ś-go Krzyża, Placem Saskim, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami, ku cmentarzowi Powązkowskiemu. Właściciele wozów zechcą nawieźć piasku, za wynagrodzeniem, jakie kto zażąda.

DZIEŃ 27 LUTEGO 1861 r.

Dnia 27 lutego t. j. na trzeci dzień po demonstracyi na rynku Starego Miasta, przybyłem na kursa rano o 8-ej, jak zwykle. Poprzedniego dnia bowiem wstąpiłem do szkoły sztuk pięknych tylko na chwilę, a po uradzeniu z kolegami włożenia żałoby za uwięzionych: Cieleckiego, Nowakowskiego, Szachowskiego i Turowskiego, których brak wśród nas się okazał, udaliśmy się kilku na miasto. Tutaj na życzenie spotkanego hr. Załuskiego, rozbiegliśmy się po domach, wyszukiwać rannych na Starem Mieście.

Otóż przybywszy rano na kursa, zastałem już na sali kilku kolegów, — później zjawiło się ich więcej — ale o zabraniu się do pracy z powodu wzburzenia umysłów, wskutek doznanych w ostatnich dniach wrażeń i mowy nie było.

Najważniejszą kwestyą chwili dla nas było smutne położenie naszych więźniów, którym trzeba

było iść z pomocą. Nad tem debatowano właśnie, a rezultat narady — jak zwykle u młodych — był krótki: wymódz na policmajstrze Trepowie ich uwolnienie. W tym celu wszyscy — ilu nas było — ruszyliśmy do ratusza.

Na saskim Placu spotkaliśmy Abramowicza, który nas zagadnął: — A dokądże „młódźcy“ tak ostro walą? Na naszą odpowiedź, że idziemy do „geroja“ (rycerz) co to: na Starym Rynku, „przy wodotrysku — dostał po pysku“ pokręcił głową i odparł: — „Po co prosić?! Chodźmy lepiej do Karmelitów na żałobne nabożeństwo po zamordowanych w r. 1831, w tamtejszem więzieniu, stamtąd przed ratusz, walić kamieniami szyby w mieszkaniu Trepowa, a zmusimy go do uwolnienia naszych“.

„Zgoda!“ zawołano chórem — poczem ruszamy do Karmelitów.

Ponieważ idąc na Leszno, musieliśmy przechodzić mimo ratusza, pochód nasz nie uszedł uwagi policyi, która też wkrótce po naszem przybyciu, zjawiła się przed kościołem w znacznej sile z Trepowem na czele.

Kościół był po brzegi nabity pobożnymi i do środka nie można się było dostać — dużo więc ludzi stało na ulicy. Przeto i my stanęliśmy za nimi — mając za sobą stróżów bezpieczeństwa.

W jakiś czas potem spostrzegamy młodego człowieka, przeciskającego się przez tłum, jakby kogoś szukał, a zatrzymawszy wzrok w kierunku naszej gromadki i wymówiwszy z zadowoleniem dość

głośno: „A są i sztuki piękne“! dodał „proszę panów do środka“.

Na te słowa zwarta masa, tak na ulicy, jak i wewnątrz świątyni rozdzieliła się w jednej chwili, robiąc nam wolne przejście do środka.

Po skończeniu mszy, organy milkną, w kościele robi się cisza. Czas zacząć śpiewy. Zaczynam: „Boże coś Polskę“ i aż do bis „Przed Twe ołtarze“ wyciągam sam jeden, nie znano bowiem jeszcze wówczas tej tak rozpowszechnionej potem pieśni. Dopiero przy bis zagrzmiały organy, a w wślad za tem tu i ówdzie ozwały się nieliczne głosy. Następne strofki poszły już znacznie lepiej, gdyż prawie cały kościół wtórował. Na moją prośbę kanonik zaintonował suplikacye, które odśpiewano z różnymi dodatkami patryotycznymi, jak: „Królowo korony polskiej“ i t. d.

Nagle przy głównem wejściu daje się słyszeć niezwykły ruch, przyczem słychać głosy: „rozstąpić się“, a później „tu dom Boży, tu gwałtu robić nie wolno“ — i równocześnie przed wielki ołtarz wpada kilku mężczyzn z paltami na rękach; ściągają z nas płaszcze, wyrywają uniformowe czapki, wsuwając natomiast inne — i tak przebranych uprowadzają boczną nawą na ulicę.

Tutaj uszykował się gęsty szpaler z publiki, odgradzając nas od policyi, wypartej już z kościoła.

W ciągu pochodu, idący obok mnie młody człowiek zainterpelował mnie o dalszy nasz program. Otrzymawszy zaś odpowiedź, że mamy iść do ratusza uwolnić kolegów więźniów, wyraził zda-

nie, że może lepiej byłoby udać się na zamek królewski i z namiestnikiem traktować o to. Uznawszy słuszność jego zapatrywania, zgodziliśmy się na projekt pójścia do zamku, a chodziło o to, któremi ulicami iść — dodał: „najlepiej będzie skręcić na lewo, na ulicę Przejazd, to nastraszymy Muchanowa, który mieszka naprzeciw niej“.

Ja bowiem proponowałem dostać się do zamku Krakowskiem Przedmieściem i wywołać tym sposobem większy efekt.

Ruszyliśmy ulicą Przejazd, potem Długą. U wylotu ulicy Miodowej wstrzymał pochód na chwilę jakiś powóz, który stanął nam w poprzek, a z którego wychyliła się postać niewieścia, zapytując się: co to za procesya? dokąd i w jakim celu dąży? Z objaśnienia danego jej przez nas wyrozumiała, że powinna i ona przyłączyć się do pochodu; bez namysłu wysiadła, a stangretowi kazała oddalić się z powozem. Ale z objaśnienia tego skorzystał i Trepow, który, asystując pochodowi przez cały czas z swoją komendą, stał w tej chwili na rogu ulicy i przysłuchiwał się uważnie. Skoro dowiedział się, o co idzie, odłączył się od pochodu i galopem popędził ulicą Miodową do zamku, aby uprzedzić namiestnika o naszej wizycie.

Na Starem Mieście zjawienie się nasze sprawiło nadzwyczaj dobre wrażenie: z pootwieranych okien panie powiewają chusteczkami, z bram zaś sypie się lud na Rynek jak mrowie. Ale idziemy dotychczas bez żadnych insygniów kościelnych, bo napotkany jedyny dotychczas kościół popauliński

był zamknięty — śpiewem więc tylko budzimy czujność mieszkańców stolicy. Na rogu Rynku i ulicy Piwnej ukazuje się na balkonie jakaś pani z dość dużym obrazem, wyobrażającym Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, dając do zrozumienia, żeby go wziąć. Leon Frankowski i Teodor Riegier poskoczyli tam, a równocześnie dopadłem Fary i zdobyłem po stoczonej z zakrystyanem walce, duży drewniany krzyż i po upływie kilkunastu sekund stoję z nim na czele pochodu.

W chwili wyjścia z ulicy Ś-to Jańskiej na plac Zamkowy wysypuje się z bramy zamkowej kompania piechoty w pełnem pogotowiu bojowem i formuje do nas „front“, zasłaniając sobą bramę. Uzbrojeni w świętości, nie zważamy na groźną postawę „kapuśniaków“, lecz ze śpiewem na ustach, śmiało zbliżamy się ku szeregowi piechurów. Wtem daje się słyszeć tentent kopyt końskich, to z poza zamku od strony Nowego Zjazdu pędzi w pełnym galopie sotnia Kubańców, znanych w Warszawie pod nazwą „Czerkiesów“, którzy zamykają przejście na Krakowskie Przedmieście.

Mamy zatem już dwa „fronty“, jeden przed sobą, a drugi z boku, ale posuwamy się dalej naprzód ku bramie zamkowej. Jesteśmy już o jakie 20 — 25 kroków od piechurów, potrząsających karabinami i złośliwie uśmiechających się do nas, gdy zwracamy uwagę na brak natłoku, który dotychczas pochodowi towarzyszył. Oglądamy się, a tu prócz kilkunastu „naszych“ i kilkudziesięciu uliczników miejskich, robiących miny do kapuśnia-

ków, z kilkudziesięciotysięcznego przed chwilą tłumu niema nikogo na placu. Wszystko tłoczy się w ulicy Ś-to Jańskiej, Rynku i przyległych ulicach lub sieniach domów; widok bagnetów i nahajek ostudził ich zapał.

Rozczarowani i pognębieni widokiem tak niespodziewanego „fiaska“ staramy się zebrać myśli dla powzięcia postanowienia, co czynić wypada dalej. Namiestnik naturalnie, nie raczy ukazać swego oblicza tak małej garstce „zatraceńców“, o tem nie może być i mowy. Trzeba więc postąpić tak, żeby nie dać pozoru, że mieliśmy zamiar tu się zatrzymać. Nie zatrzymując się też ani na chwilę, zwracamy na prawo, ku rozciągniętemu o paręset kroków szeregowi Kubańców, którzy stali oddaleni jeden od drugiego o jakie 2 kroki, z czego można było wnosić, że uda się nam przedrzeć przez nich.

Postanawiamy, gdy zbliżymy się do szeregu, rozszerzyć swój pochód i starać się pojedynczo przebić, w nadziei, że, jeśli uda nam się ta sztuka, to kochani uciekinierzy przyłączą się znowu do nas i dalej pójdziemy przez miasto w tej samej ilości, jak przed wyjściem z ulicy Ś-to Jańskiej.

Stanęliśmy wreszcie oko w oko przed Kubańcami. Ale ponieważ obraz niosło teraz 3-ch ludzi, chodziło więc, aby ich przepchać naprzód, gdyż dla 3-ch była za wązka luka; w oczekiwaniu na nich ja nie przebijałem się, lecz stoję już za nimi. Obraz znajduje się już w połowie długości stojących obok siebie koni. Nadzieja przebicia ożywia nas, gdy wtem podnoszą się z obydwóch stron duże olbrzy-

mie ręce, chwytają za górną ramę obrazu, usiłując wyrwać go niosącym. Widząc, że trzej 17-to letni młodzieńcy nie zdołają oprzeć się dwom silnym drabom, składam krzyż swój na bruk, przyskakuję do nich, chwytam za obie boczne ramy i gwałtownem szarpnięciem oswobadzam obraz, ale bez górnej ramy, która wraz z jednym Kubańcem znajduje się na bruku.

Na ten widok odzywa się na prawem skrzydle komenda: „w nagajki“! i rozpoczyna się młocka. Podnosimy do góry kołnierze swych płaszczów, odzyskanych na Starem Mieście, okrywamy niemi głowy i twarze i cofamy się w kierunku studni, będącej na rogu ulicy Podwale i Placu Zamkowego, gdzie za dorożkami, które zatrzymały się tu dla napojenia koni, znajdujemy bezpieczną dla siebie twierdzę. Kubańcy wracają na zajmowane przed batalią miejsce. Zapanowuje względny spokój.

Po upływie kilku minut przedzieramy się w pojedynkę na Krakowskie Przedmieście i będąc o kilkadziesiąt kroków za szeregiem Kubańców, zaczynamy znowu śpiewać. Kozunie nawracają konie i galopem zabiegają nam drogę, zamykając ulicę tuż za kościołem Bernardyńskim.

I znowu spokój.

Po pewnym czasie rozlega się w kościele żałobne miserere i wysuwają się na ulicę Kapucyni, idący na czele konduktu. Kubańcy przypuszczają do nich szarżę i po krótkim świście nahajek oczyszczają na chwilę plac z „nieprzyjaciół“.

Wkrótce słychać powtórne miserere i znowu ukazują się bure habity. Kozacy ponawiają szturm nahajki świszczą, ale mnisi nie ustępują i idą z krzyżem na czele.

Wtem jedno ramię krzyża opada na dół, a równocześnie rozlega się przeraźliwy krzyk z tysiąca piersi, które nagle jakby z pod ziemi wyrosły. — Zbóje krzyż porąbali! Ze wszech stron posypuje się na kozaków grad pocisków z lodu i kamieni. Mnisi raz jeszcze cofają się do kościoła — a ordynans dowódcy galopuje z raportem do zamku. Niebawem zjawia się piechota i zamyka plac przed kościołem. Tym razem wyrusza pogrzeb w asystencyi jednego księdza i kilkunastu osób orszaku.

Piechota staje na czele konduktu, a Kubańcy zamykają go. Na ulicy rozlegają się głosy: „zbóje zamordowali na Starem Mieście w poniedziałek człowieka i nie pozwalają iść za jego pogrzebem — chodźmy!“ I za plecami Kubańców sunie znowu masa ludu: zgromadzili się już uciekinierzy.

Otoczony wojskiem kondukt, znajduje się już opodal figury Matki Boskiej — naprzeciw domu Malcza, gdy w powietrzu rozlega się nagle echo salwy, brzęk szyb i przeraźliwy krzyk rannych i publiczności.

Dym zasłania dom Malcza, a po chwili ukazują się na murze ślady z opadniętego tynku. Kondukt rusza dalej. Zbliżam się do miejsca katastrofy: ze sklepu wynoszą dwa trupy ułożone na pakach towarowych — kierując się ku wązkiemu Krakowskiemu Przedmieściu, — to drugi kondukt. Chcąc przeczekać tłok, przystanąłem na chwilę. Nadjeżdża

dorożka, wiożąca człowieka, dającego słabe oznaki życia; woźnica pyta: co ma z nim począć? „Wieźcie go na zamek“ — odpowiadam. Pojechał tam po namyśle. Przeciskam się przez tłum, żeby zobaczyć, co się stanie z niesionymi trupami. U wylotu ulicy Koziej nadjeżdża jakiś pułkownik, zatrzymuje konie i pyta, co się stało? Idący o parę kroków młody człowiek, jednym skokiem znajduje się na stopniu powozu, wymierza mu siarczysty policzek, zrzuca kaszkiet z głowy, mówiąc „zdjąć czapkę“, poczem niknie w tłumie.

Hotel Europejski oblegają tłumy, ścisk nie dający się opisać, z trudem przedostaję się do środka. W jednej z sal I piętra, na ustawionych obok siebie pakach, spoczywają zwłoki dwóch ofiar. Na ich obnażonych piersiach widać krwawiące się jeszcze rany.

Płacz i jęki napełniają korytarze. Każdy z odwiedzających pochyla się z uszanowaniem nad zwłokami, całując ich rany. Kilku siwych starców z śladem krwi na sumiastych wąsach, klęcząc i złożywszy palce na krzyż, wykonywa głosem przenikającym do głębi serca przysięgę wiecznej zemsty wrogowi.

Wśród przybyłych zjawia się jakiś kadet w uniformie wojskowym; ktoś wymierza mu policzek, zrywa epolety, łamie pałasz, ciska na podłogę, depcze nogami!

Młodzieniec zalewa się łzami i woła wzruszony: „ja nie Moskal—ja Polak Panowie!“ Nadchodzi na to jego znajomy i przekłada obecnym, że to syn najlepszych Polaków i sam gorący patryota.

„Ale w poszarpanem ubraniu nie może się stawić ten młodzian przed swą władzą“,— robi uwagę ktoś z tłumu i proponuje zaopatrzyć go w fundusze na wyjazd za granicę. Zewsząd sypią się hojne datki, a znajomy młodzieńca uprowadza go z sobą wśród przeprosin obecnych temu zajściu.

Opuszczam przejmujące zgrozą miejsce i wydostaję się na ulicę. Z rozmów, zasłyszanych tu i owdzie, dowiaduję się, że strzały miał spowodować jenerał Zabołockoj, który w czasie przejścia pogrzebu, stojąc oparty o stos kamieni złożonych na placu, miał dostać kamieniem w łeb od jakiegoś ulicznika. Zakomenderował do przechodzącego właśnie oddziału piechoty: „pali“ (ognia), za nim zaś miał powtórzyć komendę dowódzca oddziału z dodatkiem: „w górę“ (strzelać w górę) i dlatego to większa część strzałów poszła górą, trafiając tylko stojącego w oknie I-go piętra gimnazyalistę, gdy tymczasem dolne strzały przyprawiły o śmierć 4 osoby.

(*„Książka pamiątkowa 40-lecia powstania styczniowego“ — Szymon Katyll.)*

ZAMKNIĘCIE TOWARZYSTWA ROLNICZEGO.

Rząd moskiewski nigdy nie sprzyjał Towarzystwu rolniczemu, co rok bardziej ograniczał i ścieśniał jego ustawę i, jeżeli nie podpisał dekretu zniesienia, po uchwaleniu uwłaszczenia i zarazem zajęciu stanowiska przez Komitet, które go robiło władcą kraju, przypisać to należy nieśmiałości z jaką postępował wobec rozpoczynającego się ruchu. Kiedy więc Wielopolski zaprojektował zwinięcie Towarzystwa, znalazł w rzędzie już przygotowane do tego umysły. I car i Gorczakow jak najchętniej zgodzili się na projekt i dnia 6 kwietnia ogłoszono w gazetach dekret rozwiązania Towarzystwa rolniczego, podpisany przez namiestnika Gorczakowa, głównego dyrektora Komisyi Wyznań jenerała Grewicza i sekretarza stanu przy Radzie administracyjnej J. Karnickiego. „Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem ustanowione w jedynym celu pod-

niesienia rolnictwa“ — mówi w dekrecie Rada administracyjna — „przez położenie, jakie w czasach ostatnich pomimo ustawy swojej przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiednie“. Krótkie te słowa znaczyć miały, że Towarzystwo zniesionem zostało za wzięcie się czynne do uwłaszczenia i za reprezentowanie politycznych interesów kraju. Widzieliśmy jak Zamoyski opierał się przeprowadzeniu ustawy i usiłował trzymać się dróg legalnych, ale widzieliśmy także, że wypadki potężniejsze od jego woli wyprowadziły Towarzystwo za pierwotny zakres i popchnęło do roli politycznej. Zamoyski był politykiem, mimo swojej woli, ale że nim był, że znaczył wiele, że przyćmiewał nowe rządy, odpowiedzieć za to musiała instytucya, której przewodniczył.

Zniesienia Towarzystwa nikt się nie spodziewał, owszem zdawało się wszystkim, że zapowiedziana reorganizacya narodowa będzie nową rękojmią jego trwałości. Wielopolski do ostatniej chwili chował w tajemnicy swoje zamiary i prócz T. Potockiego zdaje się, że nikt nie wiedział o gotującym się ciosie. Spadł on też na nieprzygotowanych jak grom i wywołał największe oburzenie. Wszelkie reformy wydały się oszustwem, rozumowano bowiem, że, gdyby rząd na seryo chciał protegować interesy kraju i narodowości, nie znosiłby Towarzystwa tyle potrzebnego dla tych interesów i nie rozpraszałby żywiołów, których skupienie było najsilniejszą tamą dla porywającej się burzy rewolucyjnej. Przy zwinięciu Towarzystwa wzmogła

się więc jeszcze bardziej nieufność i powiększyła zastępy zwolenników ruchu.

Umarłych i upadających zwykle żałują, żałowano więc powszechnie Towarzystwa, a ci, którzy je najwięcej krytykowali, najgorętsi, najniecierpliwsi agitatorowie, pierwsi zaczęli wić wianek koronujący jego zasługi. Nie trudno też dopatrzeć się w tem uznaniu objawu solidarności narodowej. W działaniu rozbiegamy się lekkomyślnie na partye, wróg zawsze uderzeniem swojem przypomina, żeśmy jedni. Gdy więc cios ugodził w Towarzystwo, poczuli ból wszyscy, połączyli się w uczuciu smutku i wspólnym instynkcie ocalenia! Od rana 7 kwietnia spostrzegano wzruszenie u ludności. W kościołach modlono się gorliwiej, na ulicach stawano i szeptano o Towarzystwie i Zamoyskim. Widać było, że się coś waży w sercach, coś w myślach przygotowuje. O 9 godzinie rano tłum żałobny z krzyżem, porąbanym 27 lutego, na czele, poszedł z kościoła Bernardynów na cmentarz Powązkowski. Trzech Bernardynów towarzyszyło procesyi, a po krótkiem jednego z nich przemówieniu, w którem zalecał mieć nadzieję „w znieważonym Bogu“ rozeszli się do domu. Wkrótce potem druga procesya z kościoła Kapucynów pociągnęła na groby uwieńczone szukać pociechy u zmarłych.

Po południu o 4 godzinie plac przed pałacem Towarzystwa kredytowego, w którym były biura Komitetu rolniczego, napełniał się ludem. Gromada rosła i przedłużała się na Mazowiecką, Królewską ulicę, Zielony plac, pałac umaiła gałązkami i wień-

cami, orła zaś moskiewskiego, umieszczonego na balkonie pałacowym, nakryła jakby całunem i zasłoniła go czarną chustą z białym krzyżem i obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Wtedy na koniu nadjechał stary, cokolwiek przygarbiony, nie drapieżny, a więc nie zły Moskal, jenerał-gubernator Paniutyn i, wmieszawszy się pomiędzy publiczność, rozpoczął, z przebiegłą dobrodusznością, moskiewską gawędkę: „A skądżeście w takiej porze tyle kwiatów nabrali“? — „Ze wszystkich polskich prowincyi“, — ktoś mu odpowiedział — „z Mazowsza, Litwy, Białorusi, Ukrainy, Podola, Wołynia i innych“. Zrozumiał odpowiedź jenerał, radził, żeby się rozejść do domów, jeszcze o coś zapytał, potem przypatrzył się uroczystości i środkiem, który się rozstąpił, żeby go przepuścić i kozaka, który mu towarzyszył, przez nikogo nie nagabywany spokojnie odjechał. Po odjeździe jenerała, od Marszałkowskiej ulicy wystąpił orszak z Karolem Nowakowskim, niosącym wielki wieniec z napisem „Towarzystwu rolniczemu“, zaraz potem z dołu wzniesiono białego orła z wieńcem nieśmiertelników, wstążkami narodowemi i umieszczono go na miejsce dwugłowego. Ledwo ujrzano godło narodowe, wyrzucono czapki w górę, rozległy się okrzyki i pieśń „Pod Twoją obronę“, po której zagrzmiał śpiew „Jeszcze Polska nie zginęła“. Już nie gromada, niespokojnie oglądająca się, jak na Lesznie, ale kilkadziesiąt tysięcy ludzi wydawało pieśń polskiego życia. W jej tonie była siła zwycięzka, Polska w duszach ukryta odezwała się głosem pieśni!

Łzy błyszczały w oczach, cały tłum był jakby zachwycony. Z tą pieśnią, lud z placu, jak falą potoczył się przez ulice Świętokrzyską na Nowy Świat i tam zatrzymał się pod pałacem Andrzeja Zamoyskiego, do którego wysłał Nowakowskiego z deputacyą, niosącą wieniec obywatelski.

Mało jest ludzi, których by zasługi tak zaszczytnie wyróżniono. Dnia 14 marca deputacya od rzemieślników ofiarowała panu Andrzejowi tabakierę z portretem Kilińskiego i pierścień z wizerunkiem Józefa Poniatowskiego, a obecnie cały naród złożył mu wieniec.

I zasłużył na niego Zamoyski godnością utrzymaną w dniach niewoli, niestrudzoną pracą, gdy inni pomdleli w ucisku. Przyjąwszy wieniec, pytał deputacyi, złożonej z licznej gromady ludzi, co myślą osiągnąć przez manifestacyę? „Czego ja chciałem i co robiłem, powiem Wam“ i tu wyłożył krótko cały znany nam program prac organicznych, „ale czego wy chcecie, do czego zmierza wasze działanie, nierozumiem“. Nikt z obecnych nie umiał mu odpowiedzieć i określić manifestacyi, aż wystąpił niepozorny żydek w ubraniu starozakonnem, w pejsach, i rzekł: „Ja biedny i ciemny żydek nie umiem panu hrabiemu rozumnie odpowiedzieć, czego my chcemy przez manifestacye, — ale to ja wiem, że gdy zginę od Moskali, to się dobrze zasłużę Ojczyźnie!“ Z balkonu Zamoyski ze zwykłą skromnością dziękował ludowi krótkiemi słowami za zaszczyt sobie uczyniony, prosił ażeby unikali zajścia z policyą i z wojskiem, ażeby się

rozeszli do domu i oddali się codziennym zatrudnieniom. Zatrudnieniem dla ludu stała się już polityka, a gdy ona raz, używając ówczesnego wyrażenia, zstąpi na ulicę, już stamtąd nie łatwo wprowadzić napowrót w ciasne obręby rządu albo nawet szersze sejmowe zakresy.

Z obrzuconego kwiatami i wieńcami dziedzińca pałacu Zamoyskiego, wystąpił lud na ulice. Jedni poszli do posągu Matki Boskiej na Krakowskiem Przedmieściu, inni stali radząc na ulicy, rozdzieleni na pojedyńcze grupy, gdy niespodzianie pokazała się kolumna wojska, postępująca od zamku przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Świętokrzyską, Mazowiecką przed pałac kredytowy. Złożona z żandarmów i dwóch kompanii piechoty, miała na czele swojem jenerała Chrulewa, którego car przysłał wraz z reformami do Polski. Chrulew, znany był z oblężenia Sewastopola, z jego okopów, czyniąc liczne wycieczki przeciw Francuzom i Anglikom, odznaczył się brawurą. Po skończonej wojnie wynagrodził car swoich jenerałów orderami i awansami, a nie dobrami skofiskowanemi Polakom, jak to zwykł czynić po każdem powstaniu, o Chrulewie jednak zapomniał.

Dotknięty pominięciem, podał się do dymisyi i przyjął obowiązki prywatne u kupca Kokorewa, który z chłopa dorobił się wielkiego majątku, a, dzierżawiąc od rządu monopol gorzałczany, używał wziętości w Moskwie. Zamiana służby carskiej na służbę u chłopa, porzucenie szabli, a ujęcie kwaterki z wódką, było ze strony Chrulewa dobrze obrachowaną

demonstracyą. Przez nią zjednał sobie dobre imię, pomiędzy nabierającą wówczas wpływu liberalną opozycyą i zetknął się z ludźmi wolnomyślnymi, carowi zaś przypomniał się i pobudził go do wynagrodzenia. Aleksander II, chcąc położyć koniec służbie sławnego jenerała u naczelnego szynkarza Rosyi, którą uważał za ubliżenie armii, zaproponował Chrulewowi powrót do szeregów a hojnie obdarzony wyjechał Chrulew do Polski po łatwą sławę a ciężką fortunę. Jenerał przed swoim wyjazdem widział się w Petersburgu z wielu Polakami, a pomiędzy nimi i z Zygmuntem Sierakowskim i prosił ich o rekomendacyę do patryotów warszawskich. Polaków zapewniał o najlepszych chęciach i sympatyi dla naszego narodu a przed demokratami moskiewskimi zaklinał się, że się krwią bezbronnych, jak Zabłocki, nie splami. Nie bardzo mu wierzyli jedni i drudzy, dali mu jednak żądane rekomendacye, nie wiedząc, że liberalny jenerał, kiedy się „podchmieli“ zwykł był zastępować demokracyę i sentymenta ludowe krwawemi moskiewskiego wojownika pożądliwościami. W Warszawie nie było pola do dwuznacznej zabawy. Tu gdzie działać a nie gadać potrzeba było, demaskował się liberalizm moskiewski na pierwszym kroku. Chrulew też odrazu pokazał się czem jest i z rekomendacyi nie mógł skorzystać. Stanął trzeźwy ze swoją kolumną przed pałacem kredytowym, a widząc sterczącego w dawnem miejscu dwugłowego ptaka, spokojnie pomaszerował napowrót do zamku, przed którym rozłożył wojsko w szereg bojowy.

Ruch kolumny i figle uliczników zwróciły uwagę publiczności. Ciekawością wiedziona szła za wojskiem, które tym sposobem z ulic, przez jakie przechodziło, sprowadziło na plac Zygmunta gęstą ludność. Zbite w jedną masę, tłumy stanęły przed zamkiem o kilka kroków od szeregów gotowych do bitwy i rozpoczęły z żołnierzami rozmowę drażniącą, z której jak z krzemienia mogła się wykrzesać iskra zdolna z błyskawiczną szybkością zapalić prochy wzajemnej nienawiści i wywołać wybuch niszczący. Strzały, wymierzone w ludność bezbronną, w ciżbie stojącą, która się ruszyć nie mogła, byłyby sprawiły straszny krwi rozlew. Życie tysięcy ludzi zależnem było od niecierpliwości któregokolwiek żołdaka, od nieroztropnego słowa pierwszego lepszego ulicznika. Członkowie zniesionej Delegacyi i straży obywatelskiej, widząc niebezpieczeństwo, jak piorun w chmurze nad ludem wiszące, błagali o rozejście się, ale tłumy i despoci, jednakowo uparci nie ustępują i tutaj na bruku warszawskim spotkały się znowu te dwie ich siły. Ludność, jakby przykuta do miejsca, stojąc o trzy kroki od zwartego zastępu carskich bagnetów, — zdawała się próbować mocy ludzkiego prawa. Siła jej moralna mierzyła się tu oko w oko, pierś z piersią z potęgą materyalną carów. „Cóż, będziecie strzelać do nas“, — wołali chłopcy do żołnierzy. — Wojsko milczało. „Możecie strzelać do bezbronnych — lepsza śmierć niż niewola“ — mówiły kobiety — Moskale ponurym wzrokiem odpowiadali. Rzemieślnicy podawali im cygara, ulicznicy się

śmieli i szydzili, a jeden student palcem kiwał na Chrulewa, zapraszał go na rozmowę. Jenerał wyszedł naprzód, zbliżył się do chłopca, a ten mu rzekł: „Słyszeliśmy jenerale o twojem męstwie w Sewastopolu — czyżbyś miał odwagę strzelać do nas, nie mających jak Francuzi, Anglicy, Turcy ani jednego karabina, ani jednej armaty? Oto wiesz co zrobić jenerale? Jeżeliś uczciwy jak mężny, połącz się z nami: Pójdziemy z tobą, z żołnierzami do do zamku, zaaresztujemy starego głupca i zrobimy rewolucyę“. „Nie można aresztować kniazia“ — odpowiedział Chrulew. „Dlaczego nie można? Chciej tylko, a zaaresztujemy i zrobimy rewolucyę“. „Nie można zaaresztować i nie można zrobić rewolucyi“ — mówił dalej jenerał, — „bo car nie pozwalał na rewolucyę“ [1]), a rzekłszy to przerwał konferencyę, poszedł do boku namiestnika cesarskiego, który wyszedł z zamku wraz z jenerałem Kotzebue i sztabem i stanął przed ludem, sądząc, że swoją urzędową powagą potrafi skłonić tłumy do rozejścia. „Czego chcecie — krzyknął — pocoście tu przyszli“? „Chcemy Polski“! — odpowiedziali mu robotnicy — „wolności, konstytucyi i wojska polskiego“ — dodali mieszczanie „chcemy praw, Delegacyi, Towarzystwa rolniczego“ — wołali kupcy i aplikanci. „Precz! precz! spać“! zawrzasnął Gorczakow. „Idź sobie spać, kiedy chcesz“! — odpo-

---

[1]) Opisaliśmy tę rozmowę według słów samego Chrulewa, który ją w ten sposób powiadał Sierakowskiemu. (Przyp. autora).

wiedział mu lud — „spaliśmy przez lat trzydzieści, nam się spać nie chce“. „Precz! precz! do domu“ — krzyczał kniaź zagniewany. „To idź ty z wojskiem do domu za Dniepr i za Dźwinę, my jesteśmy w domu“. „Rozejść się, precz rozejść się“! „Nie pójdziemy, dopóki wojsko nie odejdzie“. Odpowiedzi te obijały się o uszy namiestnika jako dolegliwszy hałas, niż kule buntownicze. Gniew jego przybierał coraz gwałtowniej. Wrzeszczał, miotał się, ślinił i kiedy mu się zdawało, że w swojej osobie podniesie grozę i powagę władzy cara, okazał ją więcej niż słabą, bo śmieszną. Nie mogąc sobie dać rady z zuchwalstwem tłumu pobiegł do zamku, lecz niebawem pokazał się znowu przed publicznością, ale już na koniu w gotowości do komenderowania. Wojsko cofnęło się o 15 kroków, lud kroku nie ustąpił. Gorczakow widząc, że się nie lękają, nie mógł się powstrzymać od krzyków „precz, precz, precz do domów, bo strzelać każę“. „Strzelaj“! — i niektórzy piersi odkryli a nikt nie odszedł. Wówczas od ludu wystąpiło kilku zaimprowizowanych parlamentarzy, pomiędzy nimi Ruprecht, ks. Wyszyński, Szlenker i przedkładali namiestnikowi smutne następstwa, do jakich doprowadzić może zajście, jeżeli nie da rozkazu wojsku ustąpienia z placu. Nie trafiła ta rada do przekonania Gorczakowa; trzęsąc się ze złości, wskazywał na armaty, wołając, że kul lud usłucha a parlamentarzom odpowiedział po brutalsku. Obecny przy nim Kotzebue, miotał się z niecierpliwości na koniu, jakby był w konwulsyach, oberpolicmajster Rozwadowski prosił: „pano-

wie rozejdźcie się“, gubernator zaś wojenny Paniutyn przy pałacu namiestnikowskim także grzecznie prosił o spokojność. „Będzie spokój, tylko nie przeszkadzajcie nam“. „Nie będziemy przeszkadzać tylko rozejdźcie się“ — i stary Paniutyn zaczął ściskać się z ludem. Mayendorf prosił i namawiał Gorczakowa, ażeby dał rozkaz strzelania, lecz gdy, po rozmowie Szlenkera z Kotzebuem, ten ostatni pojechał do namiestnika z radą, aby cofnął wojsko, przemogła w Gorczakowie jeszcze raz dobra natura i dał rozkaz wojsku nie strzelania, lecz odstąpienia.

Ledwo się żołnierze ruszyli, znaleźli się tacy, co na tryumf klaskali, śmieli się i sykali, zmniejszając tem drażnieniem znaczenie odniesionej przewagi. Wojsko poszło do koszar, z żądzą zemszczenia się za śmiechy i szyderstwa, a tłum powoli rozszedł się do domów, przeświadczony, że manifestacyami dojdzie do zwycięstwa.

Umiarkowaniu Gorczakowa należy jedynie przypisać nie krwawe rozwiązanie scen 7 kwietnia, jak podobno i tej okoliczności, że pułkownik Peuker, który miał rozkaz strzelania, takiego nie wykonał i wolał, unikając odpowiedzialności, odebrać sobie życie wystrzałem z pistoletu, niż się splamić krwią bezbronnych. Śmierć ta w zamku i w mieście zrobiła wielkie wrażenie a grób jego na ewangelickim cmentarzu był przedmiotem publicznego poszanowania. Sceny pod zamkiem nie były zakończeniem wzburzenia, pokazały one tylko, że korzyści, jakie spodziewał się rząd osiągnąć przez zniesienie Towarzystwa rolniczego, ominęły go, wpływ bowiem

Zamoyskiego, który się już był zachwiał, utwierdził się a popularność jego przeniknęła w najniższe ludowe warstwy. Wprawdzie rząd pod jednym względem dopiął swego, to jest zmusił pana Andrzeja do bezczynności, lecz Zamoyski i bez Towarzystwa był „pierwszym obywatelem kraju“ i samem odsunięciem się i biernością utrzymywał wiejskich obywateli zdala od kierunku, którym kroczył Wielopolski. Przy tem było złudzeniem, że zniesienie Towarzystwa przerwie jego istnienie. W takich czasach instytucye potrzebne, gwałtownie wywracane nie padają, lecz zmieniają tylko formy. Po odsunięciu dotychczasowych przewodników, ludzie z miasta, z owego stronnictwa Delegacyi, ster jego ujęli i, usuwając rolnictwo, politykę postawili na widoku, i całą organizacyę byłego Towarzystwa, przez którą władzę nad całym krajem spodziewali się pozyskać. Za pośrednictwem Edwarda Jürgensa i innych osób, porozumieli się ze szlachtą i, połączywszy dwa odcienia miejski i wiejski centralizujące się w Delegacyi i w Komitecie, w jedno wielkie umiarkowane stronnictwo, nazywane legalnem, albo białem, objęli swymi wpływami całą Polskę. Towarzystwo rolnicze odżyło w tajemnej organizacyi tak zwanej Dyrekcyi „białych“. Prócz tego zniesienie Towarzystwa, wywoławszy sceny ludowe, a następnie starcie krwawe pod zamkiem, dało początek drugiemu tajemnemu wiązaniu się rzemieślników i mieszczan i kojarzeniu szczątków rozbitej straży obywatelskiej, z czego następnie wyniknęła organizacya rewolucyjna „czerwonych“.

Już 7 kwietnia spostrzedz można było znaczny wzrost dążności, która krzyż na miecz zamienić miała. Rezygnacya męczeńska, jaka się wyraziła 27 lutego, wystąpiła tu już obok ochoty do bojowej zaczepki, spokój i nieulękłość obok lekceważenia i zuchwalstwa, które na sposób honorowych bohaterów szyderstwem i wymysłami drażniło nieprzyjaciela. Żołnierze uczuli się dotkniętymi śmiechami i pragnęli pomścić przegraną, — oficerowie i jenerałowie zarzucali Gorczakowowi, że ich na publiczne szykany wystawił i krwią je zalać pragnęli.

Namiestnik sam, ugodzony w dumie i w dostojeństwie, mniejszy wstręt niż dotychczas poczuwał do walczenia z bezbronnymi, w Petersburgu zaś car i jego doradcy, mniemając, że powodem wzrostu oporu i zuchwalstwa jest łagodne postępowanie władzy, nakazali Gorczakowowi użyć broni przy pierwszej manifestacyi, we krwi utopić ruch narodowy, a w represyi wynaleźć środki, niedopuszczające wznowienia oporu. Rozkaz Petersburgski znalazł w Warszawie grunt przygotowany. Jenerałowie, a pomiędzy nimi adjutant kniazia Mayendorfa, wymogli na tracącym przytomność Gorczakowie, zgodę na swoje zamiary. Chcieli bitwy, chcieli przez napaść na ludność pod pozorem manifestacyi, chociażby przez policyę wywołanej, zaspokoić pragnienie zemsty i żądze do Polski obudzonej nienawiści, partya przytem mikołajewska w starciu orężnem widziała jedyny sposób przywrócenia dawnego systemu rządzenia, zachwianego przez Polaków. Rada więc wojenna, w której udział brał i Płatonów, ze-

brana w zamku w nocy z 7 na 8 kwietnia uchwaliła plan ataku ludności już nazajutrz, mający się wykonać. Czy Wielopolski wiedział o radzie i brał w niej udział? — nie zostało wykrytem.

Przykrycie planu napaści pozorami manifestacyi nie było trudne. Usposobienie ludności, wzburzone do wysokiego stopnia przez zniesienie Towarzystwa rolniczego, sprzyjało wszelkiego rodzaju objawom niechęci do rządu. Powodów do nich było bardzo wiele.

(„Manifestacye Warszawy 1861 r.“ — Agaton Giller — Stanisławów, 1908.)

STRZELANIE POD ZAMKIEM.

Do manifestacyi nazajutrz po rozmowie Gorczakowa z ludem pod zamkiem, posłużyła śmierć Ksawerego Stobnickiego, którego pogrzeb miał się właśnie odbyć 8 kwietnia.

Stobnicki znany był z cierpień i patryotyzmu. Młodzieńcem będąc, należał do związku księdza Piotra Ściegiennego, proboszcza z Chodla, który zamierzał wzniecić chłopskie powstanie. Wydany przez Rychtera Stobnicki, po dość długiem badaniu, zapędzony został do Tomska, gdzie, skazany na żołnierza, umiał pozyskać powszechną miłość i szacunek. Za pomoc, niesioną braciom, będącym w rotach aresztanckich w Ujść-Kamieniogorska, przeniesiony z Tomska na stepy Kirgizkie, następnie do tego miasta powrócony został, wskutek starania narzeczonej, młodej i pięknej Bronisławy Reiter, która puściła się sama w długą i niebezpieczną

podróż. Odbyła ją szczęśliwie, mając przy sobie pistolet do obrony. Ta mężnego i czułego serca dziewica, pospieszywszy za narzeczonym dobrowolnie na wygnanie, nie cofnęła się przed niedolą, jaka ją czekać musiała w stanie żołnierki. W Tomsku wzięli ślub kochankowie. Pożycie ich małżeńskie było wzorowem, ale nie długiem, gdyż wkrótce Bronisława umarła.

Ksawery był nieutulony po jej stracie. Czas mu schodził na cmentarzu i na usługach braterskich współwygnańcom. Na grobie żony, tknięty paraliżem, powrócił w roku 1857 do Ojczyzny razem z innymi uwolniony wówczas, gdy już był strasznie znękany chorobą, Biednego, pozbawionego siły na umyśle i na ciele wygnańca, przyjęła do swego domku Emilia Gosselin i najtroskliwiej pielęgnowała.

Otóż takiej przeszłości człowieka miał się odbyć pogrzeb 8 kwietnia o 3 popołudniu z kościoła O. O. Reformatów. Chrześcijanie i Żydzi, najzacniejsi i najpatryotyczniejsi ludzie, szli za trumną nieszczęśliwego. Tysiączna ludność oddawała ostatnią posługę wygnańcowi, niosąc jego zwłoki do grobu, wykopanego obok mogiły pięciu ofiar. Młodzież, prowadzona przez Karola Nowakowskiego, wystąpiła w narodowym stroju. Oddziały jej w czamarkach wyróżniały się czapkami. Jedni mieli amarantowe, inni granatowe, inni znowuż białe lub czarne krakuski z kokardami trójkolorowemi i żałobnemi piórkami. Zdawało się, patrząc na nich, że to różne pułki wojska narodowego w szeregach

przed duchowieństwem postępują. Przy rogatce stało wojsko, snać jednak nie miało rozkazów napaści, bo orszak pogrzebowy przepuściło spokojnie, Gorczaków nie chciał bitwy z pogrzebem.

Po złożeniu trumny w grobie i odprawieniu zwykłych modłów nad zmarłymi, orszak pogrzebowy udał się z Powązek na cmentarz żydowski, złączywszy się po drodze z gromadą żydów, śpiewających „Boże, coś Polskę". Jak nad grobem wygnańca sybirskiego, tak i nad mogiłą żyda, który pracował przez całe życie nad uobywatelnieniem swoich współwyznawców, chciano uczcić akt braterstwa Żydów z Polakami. Tą mogiłą był grób Ejsenbauma, zmarłego dawniej dyrektora szkoły rabinów w Warszawie. Ejsenbaum był człowiek światły i poczciwy. Rozumiejąc dobrze potrzebę przyjęcia przez Żydów obyczajów i mowy polskiej, przemawiał do nich w tej myśli i przepowiadał, że nadejdzie czas, w którym Żydzi równouprawnieni i do narodu polskiego przyjęci zostaną.

Prorocze słowa spełniły się. Wspólny śpiew, przemówienia, wzajemne uściski Żydów z Polakami nad jego grobem, były nowem świadectwem rzeczywistego pomiędzy nimi połączenia, którego Ejsenbaum tak gorąco pożądał.

Gdy na cmentarzach dwa najwięcej cierpiące ludy na kuli ziemskiej, uświęcały uroczystość swego braterstwa, pod zamkiem polityka szalbierska utwierdzała despotyzm rozlewem krwi narodu, który się rozszerzał dobrowolnemi uniami.

Wieść fałszywa, puszczona przez ajentów policyjnych, o zabraniu przez rząd pieniędzy, złożonych na rannych w wypadkach lutowych i o mającem nastąpić rozdzieleniu ich pod zamkiem pomiędzy ubogich, sprowadziła kupę żebraków, którzy, w oczekiwaniu jałmużny, stali przy Nowym Zjeździe. Obok Bernardynów, na Krakowskiem Przedmieściu, zebrała się gromada ciekawych, inna gromada przy kolumnie Zygmunta III przypatrywała się żebrakom i wojsku, snującemu się przy zamku. W wielkiem mieście zawsze jest łatwo utworzyć zbiegowisko. Dosyć, żeby dwóch lub trzech ludzi zatrzymało się na ulicy dla przypatrzenia się czemukolwiek, wnet się wokoło nich formuje z przechodzących tłum ciekawych. Nic więc podejrzanego nie było w tem, że liczba ciekawych powiększyła się przed zamkiem, tem bardziej, że nie była wiele liczniejszą od zwykłego w tem miejscu ruchu ludności. Zachowanie się ludu było spokojne, nic w sobie nie miało wyzywającego, — żadne też inne prócz ciekawości uczucie nie wyrażało się w jego postawie; powozy kursowały jak zwyczajnie, a pomiędzy nimi kuryerka, wyjeżdżająca do Lublina przez Nowy Zjazd. Gdy się zbliżyła ku Zamkowi, pocztylion zatrąbił „Jeszcze Polska nie zginęła“. Pieśń ta ma własność elektryzowania Polaków. Gdy się więc jej głos rozległ pod murami, kryjącymi namiestnika cara, który życie Polski nazwał marzeniem, — oklaski ze wszystkich stron pieśń powitały. Z nad Wisły głos trąbki jeszcze dolatywał, gdy z bram zamkowych w wykonaniu planu w nocy uradzonego, pod wo-

dzą jenerała Chrulewa, wystąpiła o godzinie 6 kolumna piechoty, mająca po obu skrzydłach oddziały żandarmeryi, a poza sobą kozaków, za nią druga kolumna i adjutant kniazia, baron Mayendorf, który wysłał adjunkta policyi z doboszem z rozkazem odczytania wezwania do rozejścia się. Bębnienie ściągnęło na plac liczniejszą publiczność, od wieków bowiem po miastach bęben, używany był do jego gromadzenia. Wezwania jednak nikt nie rozumiał, czytanem było bowiem nie przed frontem, lecz za wojskiem, gdzie publiczność przystępu nie miała. Mayendorf najwidoczniej pragnął, żeby wezwanie było niezrozumianem i zostało bez skutku.

Nie przeczuwając zamiarów reakcyi, którą usprawiedliwić chciano zaburzeniem, nieulękli Warszawianie pozostali na placu, wnet też żandarmi, w ciężkich blaszanych kaskach, lotni kozacy przypuścili szarżę w trzy punkta: na dziadów, których zepchnęli z Nowego Zjazdu, na ulicę Maryensztad, na publiczność pod Bernardynami i wreszcie na stojących pod kolumną Zygmunta, których pędzili w Senatorską ulicę. Rąbiąc na obie strony pałaszami i tratując kopytami koni, dzieci i kobiety, nie tylko, że nie potrafili rozpędzić ludności bezbronnej, ale wściekłością natarcia, krzykiem i krwią, jak poprzednio wieścią i bębnieniem, przyciągnęli nowe gromady z sąsiednich ulic. Druga szarża, również straszna i krwawa, była bezskuteczną, puszczono race z zamku, zaryczały działa w cytadeli, wojsko we wszystkich koszarach wzięło za broń, i nowe jego szeregi dążyły z różnych punktów mia-

sta na plac Zygmunta, gdzie, wokoło posągu, piechota Muromskiego i Kostromskiego pułku sformowała się w dwa bojowe oddziały. Przytem wszystkie strategiczne punkty stolicy: plac Saski, Trzech Krzyży, Bankowy, Krasińskich, Nalewki i Grzybów zostały zajęte.

Kozacy pozajmowali posterunki i znajomych uprzedzali, że wojsko ma rozkaz wystrzelać wszystkich na ulicy, — przepuszczając swobodnie tych tylko, którzy im w rękę kilka groszy wetknęli. Jenerał zaś Zabłockoj, pamiętny zabójca 27 lutego, rozciągnął swój batalion na ulicy Senatorskiej od ulicy Koziej i pałacu prymasowskiego aż do domu Piotrowskiego, nie przepuszczając tych, którzy z placu Zamkowego uchodzili.

Sebastopolski rycerz miał uczyć wojska moskiewskie, których było blizko 40,000 w Warszawie, wojny z bezbronnymi. Dano rozkaz strzelania. Kilku obywateli, byli konstablowie, na odgłos niebezpieczeństwa przybiegli na plac i prosili oficerów, ażeby wstrzymali strzały, zapewniając, że lud usłucha ich rady i rozejdzie się. Próżne były przedstawienia, — strzały padły w trzy ulice. Lud przed ogniem się nie cofnął i bezbronną pierś, jak chrześcijanie w cyrku, wystawiając na pociski, padał na świadectwo prawdzie dla przyszłego tryumfu Polski.

Wracający z pogrzebu Stobnickiego, słysząc strzelanie, zwrócili się w jego stronę i wmieszali się pomiędzy lud, który gęstą masą napełnił plac Zamkowy.

Od Krakowskiego Przedmieścia w hałasie bojowym, wśród świstu kul, rozległ się błagalny głos „Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!“ Kapucyn szedł bronić krzyżem mordowanego ludu. Żołnierze bagnetami uderzyli na niego i idących za nim, — padł zakonnik, powalony kolbami, z rąk zaś jego skrwawionych, wziął krzyż młodzieniec, jak wieść niesie Karol Nowakowski (umarł podobno na Syberyi 1867 roku), a gdy go porwali żołnierze do zamku, zdążył jeszcze krzyż oddać młodemu żydowi, który trzymając go ponad głowami, padł zabity w jego obronie. Rannych ciągniono do zamku, trupy kozacy wlekli na koniach za nogi, roztrącając im głowy o bruki, — adjutant Mayendorf biegał, wołając „więcej, więcej jeszcze polskiej krwi“, a Gorczaków i inni dygnitarze przypatrywali się rzezi z okna. Członkowie Delegacyi próbowali udać się do zamku z przedstawieniem do namiestnika, ale stary kniaź nie przyjął deputacyi i rozkazał nikogo z obywateli do siebie nie dopuszczać. Niektórzy udali się do Płatonowa, ażeby powstrzymał zaciekłość żołnierską, lecz ten moskiewski mąż stanu zimno odrzekł: „Rząd powinien był dawniej zrobić, co teraz wykonywa“. Od ministra-Moskala poszli do ministra-Polaka Wielopolskiego, prosić go, ażeby pojechał do zamku i wstrzymał namiestnika od dalszego krwi rozlewu. Wielopolski wymawiał się trudnością przedostania się przez lud wzburzony i rozjuszonych żołnierzy— lecz gdy dr. Chałubiński ofiarował się doprowadzić go do miejsca, przyobiecał swoje wstawien-

nictwo. Na koźle karety, posuwającej się wśród ciżby, siedział Chałubiński z obliczem rozpłomienionem i pełnem troski, w karecie spostrzegł lud zimnego i nieruchomego margrabiego, padły kamienie w szyby karety, margrabia nie spojrzał na ciskających, osoba jednak Chałubińskiego sprawiła, że przez krwi potoki, obok ciał pokłutych pikami, porąbanych szablami, podziurawionych kulami, karety Wielopolskiego nie zatrzymano i Wielopolski dotarł do zamku. Już tego dnia nie widziano więcej ministra. Powiadają jednak, że się mu udało powstrzymać dalszą rzeź, dokładnie przecież nie wiadomo jak przyjął namiestnik jego przedstawienie, to tylko pewna, że Wielopolski spostrzegłszy, iż reakcya mikołajewska funduje powrót swój do władzy na wojskowej represyi, zaczął zaraz działać dla jej osłabienia i utrzymania przeprowadzonego przez siebie systematu cywilnych rządów. Gotów dla uratowania reform wziąć za krew przelaną na siebie całą odpowiedzialność, nakłaniał Gorczakowa, ażeby oddał aresztowanych pod cywilne trybunały i pod kary, mające się wymierzyć na zasadzie prawa o zbiegowiskach, które miał zaraz zredagować, a nie pod sądy wojenne, według których dotąd oskarżonych politycznie sądzono.

Tymczasem na placu, w dole, pod oknami zamkowemi wojsko podpite prowadziło dalej dzieło suworowskich mordów, puszczając ręce i strzelając ogniem plutonowym w ulicę Senatorską, gdzie szarże jazdy wstrzymywano klęknięciem i wołaniem „Jezus — Marya“, na Krakowskie Przedmieście, do

zakonników, którzy się przechadzali w swoim ogrodzie, na Nowy Zjazd, w ulicę Śto-Jańską, na której studenci stanęli w linii i nie przepuszczali ludu, biegnącego ze Starego Miasta na plac rzezi, a wreszcie w ulicę Piwną i na Podwale. Lud nie miał się czem bronić, nie było strzelb ani kamieni, na Podwalu tylko szczapami odpierał ciosy i dorożkami usiłował się zasłonić. Żołnierze mieli rozkaz porywać trupy i rannych, a lud pięściami ich bronił. O rannych ucierał się z nimi do ostatniego a trupy z rąk im wydzierał. Kilkunastu poległych zdołano złożyć w cukierni, której właściciel, szwajcar Beli, wciągał rannych do siebie, a kobiety darły ze siebie bieliznę i przewiązywały rany w pokojach na górze, prócz tego wnoszono trupy do domu Reslera i rannych do resursy, gdzie właśnie członkowie tak zwanego „Kółka warszawskiego“ obradowali nad sposobami wstrzymania manifestacyi. Jürgens, Ruprecht, Wohl, Adolf Pieńkowski i całe zgromadzenie uznawało konieczność wpływania na umysły w duchu uspokojenia, prócz Jarmunda, który był zdania, że należy powołać Mierosławskiego i zrobić rewolucyę, gdy właśnie krwią oblanych i pałaszami poszarpanych ludzi wniesiono na salę. Rannych odwożono jeszcze do hotelu europejskiego, do szpitala Ś-go Rocha, Dzieciątka Jezus i Ewangelickiego, opatrzono w domach prywatnych, lecz większą część żołdacy zaciągnęli do zamku, gdzie ich przez całą noc opatrywał dr. Chałubiński. Królewskie sale były krwią uczerwienione. Krew ta miała w sobie coś odurzającego. Wielu co się szczęśliwie wy-

mknęło z tego starcia serc i pięści z bagnetami, powracali jakby się wstydzili, że do końca nie wytrwali. „Gińmy wszyscy razem“ — i ginęli, jak synowie Matki Bolejącej. W kościele Kapucynów zapalili u wszystkich ołtarzy świece, pobożni zanosili się od płaczu, błagali bowiem Boga o opiekę dla zabijanych. Po gorących modłach poszedł zakonnik, ks. Wacław, z krzyżem i lud z nim, natchnieniem prowadzony, tam, gdzie liczne ofiary padały i uklęknąwszy na rogu Senatorskiej ulicy, śpiewał psalmy. Na modlących się natarli kozacy, piechota dała ognia. „Módlmy się i śpiewajmy“ — zawołano, modlący się nie ustąpili, aż wówczas, gdy jednych pokłuto, innych wybito, a resztę rozpędzono. Dziki i pijany żołnierz nie cofnął się przed obrazem najszczytniejszego poświęcenia, nie zadrżał na widok utwierdzanej potokami krwawemi wiary, którą zdradziła w Polsce miłość Ojczyzny. Słuchając obojętnie śpiewania, kończącego się jękiem konania, bezpieczny o swoje życie, wykonywał swobodnie rozkaz władzy, którą ogarnęła myśl szalonych, że ducha bagnetem zabije. Bernardynów od spowiadania umierających pod ich kościołem odpędzali żołdacy i rannych dobijali. Obok kolumny Zygmunta strzelili w kobietę, dźwigającą trupa. Na Podwalu zabili starca, ledwo wlokącego swoje kroki, w innych miejscach wiele kobiet i dzieci pomordowali, a nikomu nie przepuszczali, mianowicie akademikom i studentom, na których rzucali się z największą zawziętością. Rynsztokami płynęła krew. Ściany domów i bruki obryzgane już były mózgami, a je-

szcze padały trupy pod pałaszami Moskali. Zmrok zgęstniał i przerwał wreszcie rzeź, dwie godziny trwającą. Ciemność nocy oświetlały na placu ogniska, przy nich siedzieli zwycięscy Moskale, a, wychylając czarki z wódką, w którą padały krople krwi z dłoni, jeszcze nie otartych, wesoło na tyumf śpiewali pieśń, zaczynająca się od słów: „Warszawa się zbuntowała“. Patrole gęste przez całą noc chodziły po ulicach stolicy, obdzierając po drodze rannych i przechodniów. Oddziały artyleryi po 6 armat z zapalonymi lontami pod zasłoną piechoty, krążyły po mieście. Policya wpadała do domów i zabierała trupy i rannych. Mularze, spędzeni przy świetle latarni, zacierali krwawe ślady na domach, a posługacze magistratu szorowali popiołem chodniki i wodą bruki spłukiwali.

Liczba poległych i rannych nigdy dokładnie znaną nie była. Gorczaków w swojem obwieszczeniu podał liczbę żołnierzy rannych 10 a zabitych 2, ze strony zaś ludu 70 wziętych do niewoli, 108 rannych i 10 poległych i taką tylko liczbę następnego dnia w nocy pochować kazał w rowach cytadeli przy bastyonie Michajłowskiej bramy, księdzu Kaczanowskiemu, naczelnemu kapelanowi armii, a miastu za ich pogrzebanie zapłacić kazał 1500 rb. Ogromnie byłby to drogi pogrzeb, gdyby tylko 10 ciał poległych rzucono w doły, niestety liczba ich była o wiele większą. Jedni podają na 300, inni na 500 zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Ostatnia nie bardzo odbiega od prawdy. Z pomiędzy zabitych na miejscu i tych, którzy z ran pó-

źniej poumierali, niektóre tylko nazwiska są znane i te dla wiecznej pamięci tutaj zapisujemy:

Adamski z Płocka, Brubicki Marcin, Biner krawiec, dr. Brüner Fryderyk, Bońkowski Teofil z Litwy, Borakowski rzeźnik, Chmielewski Michał, Chmielewski Teofil, Chrapowicki, Chronowski parobek, Dąbrowski Jakób akademik, Dunin Roman właściciel wiejski, Dunin Karol starzec 70-letni, b. major wojsk polskich, Fubisz Lucyan, Fellers Karol, Fabiszewski, Gutman Adam, Głowiński Leon, zmarły z ran u Dzieciątka Jezus, Gałecka służąca, zabita, gdy brała wodę z wodociągu wprost zamku, Głodzińska panna służąca, Holakowski ślusarczyk, Jeryszmo Marceli, Jerzmanowski Alfons właściciel wiejski, Kaczyński Feliks służący, umarł z ran w cytadeli, Kalerda Franciszek, Krauze Michał, ojciec trojga dzieci, zmarły z ran na klinice, Kwieciński, Koerner dorożkarz, Kropiwnicki Michał, syn budowniczego, Karasimowicz, Kędzierski Leonard, Klein szewc, Kunicki Władysław urzędnik, Landen, żyd akademik, Leszczyc akademik, Łapiński pułkownik polski z czasów Księstwa warszawskiego, Łepkowski Roman, właściciel wiejski, Milutty panna, Milanowski czeladnik, Miłkowski Tadeusz majster ciesielski, Malinowski Tadeusz, Nowiński, Nowaczyński czeladnik piekarski, Noskowski, student petersburgskiego uniwersytetu, Nienałtowski z Kaliskiego, Niewczyński murarz, Nisenblatt Szloma lat 17, umarł z ran w szpitalu, Ostrowski oficyalista z Lubelskiego, Ostapowicz z Litwy, Ostałkowski Aleksander dzierżawca kolonii w Łęczyckiem, Ostrowicz ofi-

cyalista z Wieluńskiego, Okronowicz Michał gorzelnik, Oksiński parobek z Lublina, Pakorowski subjekt handlowy z Kijowa, Praksiński syn właściciela domu w Warszawie, Pruszyński syn emeryta z Płockiego, Prokopowicz, b. żołnierz wojsk polskich, Przeganowski czeladnik bronzowniczy z Lublina, Prętowski Michał dozorca rogatek, Porębski mydlarz, Praczkowski oficyalista z Suwałk, Ring syn kupca i bankiera, Sieczkowska Eleonora, raniona kulą na rogu ulicy Senatorskiej i Krakowskiego Przedmieścia zmarła 21 kwietnia w szpitalu ewangelickim, Stankowski Stanisław, Stephanides Roman rodem z Wieliczki buchalter [1]), Szubin, Świerczewski krawiec, Sadowski czeladnik białoskórniczy, zmarły w szpitalu Dzieciątka Jezus, Święchowski krawiec, Suszczyński, Sejfried stolarz, Sitkowski malarz pokojowy lat 22 umarł z ran w szpitalu u Marcinkanek, konając upominał obecnych, aby przedewszystkiem kraj kochali, Sandecki Maciej, Sejfert Karol, umarł w szpitalu Ś-tego Rocha, Sulikowski syn doktora, Sulmicki kopista, Saniecki syn stróża, Salicki Bartłomiej emeryt, Statkowski piaskarz, Stasiakowska służąca, Strachociński Michał giser, umarł z ran w szpitalu Dzieciątka Jezus, Sadkowski Tymoteusz, były wojskowy rosyjski, Twaroniecki Edmund syn lokaja, Taminiecki Aleksander, oficyalista z Radomskiego, Toliński kamerdyner, Tokarski Wiktor, Uszyński Feliks czeladnik białoskórniczy, Wilker Władysław ze straży

---

[1]) „Czas“ Nr. 881. z r. 1861. (Przyp. autora).

ogniowej z I. części miasta, umarł z ran w szpitalu Śtego Rocha, Węgierski czeladnik krawiecki, Wojnicki ślusarz, zmarł w szpitalu Śtego Rocha, Winnicki czeladnik krawiecki, Winnicki Leonard, Zarzycki Hipolit, zmarły z ran w szpitalu Śtego Rocha 23 kwietnia student petersburgskiego uniwersytetu w Warszawie urzędnik sądowy, Zienkiewiczowa szwaczka z ulicy Piwnej, matka 2 dzieci, Ziemiński felczer, Zienkowski Teodor literat, Zambrzycki pisarz prowentowy, Zuberbier Karol syn urzędnika. Prócz tego znane są nazwiska następujących osób, które w rzezi 8 kwietnia otrzymały rany nie śmiertelne: Bobuski urzędnik emeryt, Grocki Michał subjekt handlowy, Goldberg uczeń, Glogier, Herner Bogumił, Królikowski Marcin krawiec, Kulikowski, Koralewski, Łaniewski, Łopatocki Jan, Maślanka Rubin, Nowakowski akademik, Rubin, Rolla Marcin stróż, Rusałkowski, Reszyn akademik, Ryczałowski wyrobnik, Strzelecki właściciel wiejski, Szadkowski, Sadowski czeladnik ślusarski, Świętochowska Eleonora żona urzędnika gubernialnego, Winauer, Wagner Konstancya, Zwoleński czeladnik szewcki.

(„Manifestacye Warszawy 1861 r." — Agaton Giller — Stanisławów, 1908.)

MANIFESTACYE I SZPIEGI.

Manifestacye po kościołach warszawskich ciągle nie ustawały mimo perswazyi i namów ze strony umiarkowańszych i rozsądniejszych patryotów. Władza rządowa nie kładła im tamy jawnie, a tylko posyłała do kościołów szpiegów i policyantów przebranych, aby notować tych, co rozpoczynają śpiewy i później pociągać ich do odpowiedzialności. Zdołano odkryć kilku z takich fałszywych patryotów i niemiłosiernie ich po wyjściu z kościoła zbito, ledwie, że nie do śmierci. Sam byłem raz świadkiem, jak przed kościołem Kapucynów na Miodowej ulicy, kiedy lud rozchodził się z jakiegoś nabożeństwa, rozległ się krzyk:

„Szpieg! Szpieg! notował śpiewających!“ — i ujrzałem uciekającego jakiegoś już niemłodego, niepozornej postawy policyanta. Nie zdołał jednak

kilkunastu zrobić kroków, jak został otoczony przed samym kościołem.

„A szpiegu, łajdaku nikczemny! — odezwało się kilka głosów—to ty braci własnych sprzedajesz Moskalom“!

„Jam niewinny, Panowie!“ — szeptał drżący i blady policyant.

„Notowałeś w kościele śpiewających!“

„Przysięgam na Boga—zawołał drżącym głosem—nic nie notowałem; to nie ja, to może jaki inny... inny... jam niewinny“ — i zaczął się rejterować w zaułek.

„To on! — krzyknął ktoś z tłumu — widziałem, jak notował nazwiska śpiewających; wróć się tu: masz kartkę w kieszeni! Gońcie go!“

I w jednej chwili już byli przy nim; lecz nikt jeszcze nie śmiał go ruszyć, czekano przykładu, a milicyant tymczasem trząsł się ze strachu, cofając się ku kamienicom.

„To on! on! ten sam szpieg! — krzyknął głos jakiś—bić go, Panowie bracia!“ —i jakaś laska spadła na głowę oskarżonego.

W jednej chwili, jakby z pod ziemi, wyskoczyło kilkadziesiąt lasek i wszystkie zmierzyły w nieszczęśliwego. Rozległ się tylko stukot kijów o kości i krzyk bolesny upadającego na ziemię policyanta. Jakiś czas leżał bez ruchu, potem zerwał się nagle i wpadł do sklepu, ale go stamtąd subjekci sklepowi znów wyrzucili na bruk pod grad kijów.

Jakaś kobieta, zobaczywszy mój mundur w tłumie, rzuciła się ku mnie i zaczęła całować mnie po

rękach, zanosząc się od płaczu i coś mówiąc, czego nie mogłem zrozumieć; domyślając się jednak, że prosi o wstawienie się za owym sługą policyjnym, którego tymczasem ciągle okładano kijmi, rzuciłem się między bijących i delikwenta, gdyż przyznam się, że, pierwszy raz będąc przy takiej scenie, żal mnie wziął tego człowieka, i zawołałem, co mi tylko głosu stało:

„Wstrzymajcie się Panowie! Dosyć już tej kary, może nawet niewinny!"

Na głos mój laski spuściły się ku ziemi; mundur miał jeszcze powagę na klasę rzemieślniczą.

„Może on niewinny; puście go" — wołałem.

„O nie! nie! To szpieg: my go znamy".

Zacząłem tłómaczyć i przekładać wzburzonemu tłumowi; lecz niewielebym wskórał na rozognione umysły, gdyby mi oddział wojska, szybkim krokiem zmierzający w naszą stronę nie dopomógł do odwrócenia uwagi od napół już żywego policyanta.

„Wojsko! Wojsko idzie! Cofnijmy się" — zawołano z tłumu i usunięto się na trotuary, zostawiając pokrwawionego i omdlałego policyanta na brukach ulicy.

Wojsko przystąpiło do samego miejsca katastrofy; podjęto i zawieziono do szpitala pobitego milicyanta, gdzie i podobno wkrótce umarł. Oficer, komenderujący oddziałem, zawezwał lud do rozejścia się, a, nie mogąc uzyskać przychylnej odpowiedzi od rozognionego tłumu, zaaresztował kilku bliżej stojących i umieściwszy w środku oddziału, ruszył ku zamkowi. Po tym czynie tłum powięk-

szył się jeszcze, otoczył cały oddział i krok w krok postępował za wojskiem, domagając się zwrócenia aresztowanych. Oficer, mając widać bardzo łagodne instrukcye od Lamberta, nie chciał widać za daleko doprowadzać tej awantury; zwrócił się przeto do mnie, widząc mnie w pierwszych szeregach tłumu i mając za przywódcę, z przedstawieniami, abym wpływał na rozejście się zebranych. Oświadczyłem mu, że jeżeli wypuści aresztowanych, to ja zaręczam mu za rozejście tłumu; inaczej, nie mogę nawet proponować opuszczenia uwięzionych niewinnie. Po wielu nareszcie dysputach, wciąż postępując z wojskiem, wypuszczono wreszcie przed samym już zamkiem aresztowanych i tłum się rozproszył do domów.

(„Notatki do pamiętników“ — Władysław Daniłowski — Kraków, 1908.)

Dnia 5. Października 1861 r. o godzinie 7½ z rana opatrzony ŚŚ. Sakramentami zakończył bogobojne i świątobliwe życie JW. najgodniejszy Arcy-Biskup

Antoni Melchior Fijałkowski

Metropolita Warszawski

w roku życia 84 a Kapłaństwa 61.

Zwłoki niezapomnianej pamięci Dostojnego Zmarłego Arcypasterza w dniu 7 bm. t. j. w Poniedziałek wystawione zostaną do odwiedzania wiernym w pałacu Arcy-Biskupim przy Ulicy Miodowej gdzie na Ołtarzach tamże urządzonych codziennie poczynając od god. 7½ z rana odprawiane będą Msze Ś. za spokój duszy Jego. Następnie dn. 10 t. m. t. j. we Czwartek o god. 3½ z południa [illegible] do Kościoła Metropolitalnego Warszawskiego Ś. Jana, a nazajutrz w Piątek po odśpiewaniu Wigilii od god. 9½ z [illegible] o 10½ Msza Wielka Żałobna, po której [illegible] Ciałem [illegible] złożenie w Grobach Kościoła Metropolitalnego będzie miało miejsce.

ŚMIERĆ I POGRZEB
ARCYBISKUPA FIJAŁKOWSKIEGO.

Na jesieni 1861 roku niespokojności burzyły Warszawę. Jeżeli na ulicach wzbronione były manifestacye, to lud chował się po świątyniach, gdzie nieustannie grzmiały pieśni zakazane. Duchowieństwo bardzo było przychylne ruchowi narodowemu, co głównie może zawdzięczać trzeba arcybiskupowi Fijałkowskiemu. Zacny i cnotliwy ten starzec dogorywał już na łożu boleści, kończąc swój, poświęcony kościołowi i krajowi, żywot. Na kilka dni przed śmiercią — było to w pierwszej połowie października 1861 r. — wezwał znaczniejsze duchowieństwo do siebie i wobec nich czynił głośną z całego życia pokutę [1]). Po przyjęciu najświętszej hostyi

[1]) Arcybiskup Fijałkowski umarł 5 października; „głośna pokuta“ — to zapewne słowa do biskupów, powszechnie powtarzane: „Umierającym proszę i zaklinam was gło-

i namaszczeniu olejami miał długą przemowę do zebranych osób duchownych, zalecając im, żeby zawsze szli z narodem, aby byli obrońcami nie tylko religii, ale i narodowości tego nieszczęśliwego ludu; wkrótce po tej mowie skonał, modląc się do Boga o pomyślność kraju. Mowa tego zgrzybiałego i szanownego arcybiskupa wielkie wywarła wrażenie na całe, a szczególnie młodsze duchowieństwo, posuwając go do udziału w sprawach narodowych.

Wiadomość o śmierci i ostatnich chwilach arcybiskupa lotem błyskawicy obiegła Warszawę. Postanowiono uczcić pamięć zacnego arcypasterza wspaniałym narodowym pogrzebem, który, jak wszystkie uroczystości, zamienił się w olbrzymią manifestacyę. Urządzono z dozwolenia władzy komitet pogrzebowy i straż pogrzebową z obywateli, którzy mieli pilnować porządku podczas tej uroczystości; policya do niczego nie miała się mieszać. Pogrzeb ten, pod względem ostentacyi, na oko, był jeszcze uroczystszy od pogrzebu pięciu poległych, lecz nie miał już tego jakiegoś tajemnego uroku, jaki widniał w pogrzebie 5-ciu poległych. Te pięć ofiar, niesionych na barkach współbraci, dawały jakiś niezwyczajny i głęboki efekt pogrzebowi, zdawało się, że dusze ich niewinne unoszą się nad orszakiem, niosąc przed tron Boga na białych skrzydłach

---

sem, trzymajcie zawsze z narodem; starajcie się, jako pasterze ludu bronić sprawy wspólnej ojczyzny i nie zapominajcie nigdy, że jesteście Polakami". Przyborowski, Hist. 2 lat, III, 306. *(P. w.)*.

krew, wylaną za swój naród jako skargę, prośbę i ofiarę. Pogrzeb zaś arcybiskupa był już czysto narodową manifestacyą, korzystającą tylko z okazyi śmierci szacowanego dostojnika kościoła. Lecz zaprawdę piękniejszej manifestacyi uczuć nigdyśmy już i przedtem i później nie widzieli. W pogrzebie pięciu poległych była tylko żałoba po stracie niepodległości bez jawnych pragnień, tu zaś już życzenia narodu dobitnie wystąpiły. Dla dodania większego rozgłosu temu pogrzebowi posłano do wsi okolicznych, aby się zgromadzili wieśniacy ze swymi proboszczami dla przyjęcia udziału w tej uroczystości. Z samego już ranka w dzień naznaczony przybywały koleją i pieszo gromady włościan, witane przez Warszawian na wstępie do miasta i prowadzone do przygotowanej zakąski, skąd je z chorągwiami i przy śpiewie „Boże, coś Polskę“, „Z dymem pożarów“ i t. p. prowadzono przez główne ulice Warszawy do przygotowanych dla nich mieszkań. Wieśniacy, mianowicie z księstwa Łowickiego, bardzo dobrym duchem byli ożywieni; sam, będąc przy częstowaniu ich przekąskami i przeprowadzając ich przez miasto, mogłem się o tem naocznie przekonać.

Od samego już południa zaczęto urządzać przygotowania do pogrzebu. Znaczniejsze gmachy, przez które pogrzeb miał przechodzić, obite były kirem. Każdej korporacyi naznaczone było miejsce, jakie miała zająć. Ogromny orszak, zaczynając od pałacu arcybiskupów, rozciągał się przez wiele ulic i placów ku kościołowi katedralnemu. Straż oby-

watelska przestrzegała porządku. Około 3-iej czy 4-ej rozpoczął się pochód ten uroczysty. Po duchowieństwie wszystkich zakonów i reguł, po pastorach protestanckich i rabinach żydowskich, następowało kilkadziesiąt korporacyi, każda poprzedzana sztandarem z kolorów narodowych z wyszytymi Orłami Białymi i Pogonią litewską, jak i orłem srebrnym na drzewcu, okrytym krepą żałobną. Za trumną, wiezioną na wspaniałym karawanie z baldachimem, niesiono na aksamitnych amarantowych poduszkach koronę królewską, Orła srebrnego i Pogoń litewską, jako oznaki godności królewskiej za najwyższym dostojnikiem kościoła, chcąc pokazać, że go, jako prymasa w bezkrólewie uważano; dalej postępowali konsulowie zagraniczni w galowych mundurach, za nimi niezliczone tłumy ludu. Orszak ten cały ze swymi kilkudziesięcioma sztandarami narodowymi, z Orłami i Pogonią w żałobie, przeciągał uroczyście przed oknami zamku królewskiego, gdzie mieszkał namiestnik i przypatrywał się z całym swym sztabem tym buntowniczym dla nich oznakom. Orkiestry i chóry śpiewaków i śpiewaczek wykonywały marsz żałobny Szopena. Pogrzeb trwał do samego zmierzchu, upajając Warszawian swoją patryotyczną uroczystością.

Nazajutrz w hotelu Europejskim wyprawiono obiad dla chłopów, na którym spełniano toasta zgody i oswobodzenia i szczęścia kraju. Liczne mowy o braterstwie ludu z panami, wzywające do wspólnej pomocy, brzmiały nieustannie. Ze strony wieśniaków niejednokrotnie występował z mową dzielny

jakiś i sędziwy wieśniak, napominając, aby te przyrzeczenia nie poszły tak z niczem, jak w 30-ym roku, kiedy to dużo mówiono, a nic nie zrobiono. Po obiedzie sami panowie rozwozili w karetach chłopów i chłopki do kolei żelaznej. Omnibusy, wiozące liczniejsze towarzystwa, ozdobione były chorągwiami z orłami białymi. Na dworcu kolei oczekiwał już ekstracugowy pociąg z kilkudziesięciu wagonów, na który wsadzono braci naszych wieśniaków, my zaś wsiedliśmy obok nich także dla odprowadzenia i, rozwinąwszy znów narodowe, umyślnie przygotowane chorągwie i, zanuciwszy „Z dymem pożarów“, ruszyliśmy ku Łowiczowi. Na wszystkich stacyach kolei żelaznej oczekiwały nas tłumy ludu z chorągwiami i śpiewami (gdyż telegrafem zawiadamiano je o naszem przybyciu).

Wielkie wrażenie na chłopach robiło to uroczyste przyjęcie; sam mogłem przysłuchać się ich rozmowom, siedząc z nimi na jednej ławce w wagonie. Darzono ich przytem orłami białymi na szpilkach, obrazkami, przedstawiającymi wypadki warszawskie i t. p. Kiedy się już zmierzchać zaczęło, oświecono lampami wagon, na którym wieziono chorągiew, i ruszono w dalszą drogę. Pociąg, wracający z zagranicy, spotkawszy się z naszym w Skierniewicach, sądził, że już rewolucya wybuchła w Warszawie, widząc sztandary narodowe i słysząc grzmiącą pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na wszystkich prawie stacyach grzmiały śpiewy, muzyki i mowy patryotyczne, na które i chłopi sympatycznie odpowiadali. Ja ze Skierniewic wróciłem się już do

Warszawy, rozmarzony nadziejami połączenia ludu wiejskiego z nami ku wspólnej walce, pociąg zaś ruszył ku Łowiczowi, gdzie chłopów serdecznie pożegnano.

(„Notatki do pamiętników“ — Władysław Daniłowski — Kraków, 1908.)



TADEUSZ KOŚCIUSZKO.



BARTOSZ GŁOWACKI

Kochani Bracia Dziś właśnie upływa lat 46. jak na obcej ziemi zakończył życie sławny obrońca wolności Polskiego Narodu **TADEUSZ KOŚCIUSZKO**

Urodził się w małej wiosce w Siechnowicach nad Bugiem 1746 r., oddany do szkoły Kadetów w Warszawie, prędko się przysposobił na dzielnego obrońcę ojczyzny. Gdy był pokój w kraju, popłynął do Ameryki, bo wtedy ten kraj wybijał się na wolność z jarzma niewoli Angielskiej, ażeby nauczyć się lepiej żołnierskiego rzemiosła. Tam się tak dzielnie odznaczył, że niedługo Jenerałem został, i dotąd imie **Kościuszki** wspominają Amerykanie z wdzięcznością a nawet piękny mu pomnik w jednem mieście wystawili. Za powrotem do kraju w wojnie z Moskalami 1792 r. bijąc się pod **Dubienką**, takie im zadał cięgi, że odtąd oczy całego narodu zwrócił na siebie. Kiedy Król Stanisław August zdradził własną Ojczyznę, i podpisał rozbior kraju, cały naród w rozpaczy przywołał Kościuszkę, gdzie był zamieszkał, ażeby stanął na czele, i wypędził z Polski moskali. Wybrany na Naczelnika siły zbrojnej, przybywa do Krakowa w końcu marca 1794 złączy garstkę Polskiego wojska z chłopami uzbrojonymi w kosy, co zbiegli się na obronę Ojczyzny, i wyrusza ku Warszawie. Dnia 4 Kwietnia 1794 r. dwóch Jenerałów moskiewskich zastępuje mu drogę w 6000 żołnierzy z armatami pod wsią Racławicami. Kościuszko szykuje swoich i daje rozkaz uderzenia Wojsku naprzód. Kiedy podjechał Kościuszko na małym koniku, gdzie stali chłopi Kosynierzy, a armaty już grały, i bitwa już wrzała, jeden z nich **Jonek Proszowiak** zapytał go: „A długo tu stać będziewa rozdziawiwszy gęby, kiedy nasi w mundurach już się biją? Uderzmy na harmaty a zaraz je zdobędziewa." Kościuszko spojrzał na niego z uśmiechem i odrzekł: „niedługo chłopcy i na was przyjdzie kolejka." Jakoż pojechawszy dalej, zawraca konika i woła na Kosynierów: „Nuże! teraz moje chłopcy! widzicie te armaty, precz z nich, a tnij i koś jak trawę Moskali!

Na hasło rzucają się Krakowskie Kosyniery: moskale ledwie zdążyli dwa razy dać ognia z armat, już chłopy nasze na baterji. **Bartosz Głowacki** wpada pierwszy, a widząc, że kanonier moskiewski chce lontem zapalić armatę nabitą, czapką zakrywa zapał, choć mu lont skwarzył rękę, nie puścił, aż owego moskala kosyniery zabili, a tak dużo swoich ocalił od śmierci. Za nim wpada Świstacki, siada na armacie i kosą kosi by trawę moskali co się darli do niego, żeby odebrać armatę. Zdobycie ośmiu armat stanowiło zwycięstwo. Kiedy Kościuszko po rozbiciu moskali, objeżdżał pole bitwy pod tą bateryą, zobaczył Jonka Proszowiaka, jak leżał krwią oblany, mając obie nogi urwane od kuli armatniej. Ujrzawszy Kościuszkę, podniósł się na rękach i rzekł słabym głosem: „A co Naczelniku nie mówiłem, że armaty będą nasze." „Ale ty zginiesz!" odpowiedział bardzo wzruszony Kościuszko. „Bóg widzi, mówił Jonek, że niczego mi nie żal, tylko że mojej Marysi nie zobaczę i z wami dalej nie pojdę." Kościuszko zsiadł z konia.

Aresztowania

W KOŚCIELE ŚW. JANA.

Około 10-ej rano wyszedłem z domu, udając się na egzekwie do kościoła św. Jana. Na placach wojska były jeszcze powiększone, po ulicach co kilkanaście prawie kroków mijały się silne patrole. W kościele czekały już tłumy ludu na rozpoczęcie nabożeństwa. Wielki katafalk z karmazynowym namiotem, urządzony tam jeszcze na uroczystość pogrzebową dla arcybiskupa, pozostawiono jakby umyślnie dla dodania ostentacyi temu nabożeństwu. Porozdawawszy podczas nabożeństwa życiorysy i portrety Kościuszki, widząc, że jeszcze masa była żądających tych pamiątek, wyszedłem przeto z Unszlichtem do jego mieszkania, aby więcej tych życiorysów przynieść i rozdać uczestniczącym w obchodzie. Kiedyśmy wracali, przed samym już kościołem zauważyliśmy ruch wojska na placu zamkowym i jeden oddział, zmierzający jakby ku kościo-

łowi; nie zastanawiając się jednak nad tem weszliśmy z naszymi plakatami do świątyni. Nabożeństwo już się rozpoczęło, a celebrował je, o ile sobie przypominam, biskup Benjamin. Rozdawszy przyniesione plakaty, wziąłem przygotowany portret Kościuszki i wszedłszy na katafalk, przybiłem u góry na miejscu zdjętego przezemnie wizerunku arcybiskupa. Czyniłem to nie bez pewnego wrażenia, gdyż przebrani policyanci, zwłaszcza po tylko co ogłoszonym stanie wojennym, mogli mnie łatwo zauważyć, ale zrobiłem to dla podniesienia odwagi w zebranych, na twarzach których widać było jakieś zamieszanie, nikt nawet śpiewów nie zaczynał, choć nabożeństwo już się miało ku końcowi. Zeszedłszy z katafalku, dałem znak wszystkim, należącym do stowarzyszenia, i śpiew, choć cichy i drżący z początku, rozległ się po kościele, rosnąc powoli w siłę. Zaledwo kilka strof prześpiewano, gdy nagle pieśń zaczęła cichnąć, jakieś zamieszanie wkradło się do kościoła; szmer głośny poszedł od strony drzwi, aż nagle w okrzyk się zamienił:

„Wojsko! wojsko otacza kościół!“

Trwożliwsi zaczęli wołać, by śpiewów zaprzestano. Ale młodzież, nie zwróciwszy uwagi na krzyki, ciągnęła dalej śpiew, choć mało już głosów jej towarzyszyło. Po ukończeniu śpiewów cichość chwilowa zaległa świątynię, a później znów szepty głośne przebiegały między obecnymi:

„Wojsko! Wojsko otoczyło kościół ze wszystkich stron!“

Wszyscy rzucili się ku drzwiom. Przed drzwiami błyszczały bagnety i ścisłe szeregi wojska opasywały bramy świątyni. Cofnąwszy się od głównych drzwi, rzuciliśmy się z tłumem do bocznych wyjść — i tam bagnety; idziemy ku zakrystyi — i tam szeregi wojska.

„Otoczeni jesteśmy ze wszystkich stron“ — odezwały się liczne głosy.

„Potrzymają nas z godzinę i odejdą“ — rzekło kilku z tłumu.

Wojsko jednak nie odchodziło, a godziny mijały powoli. Przed wszystkiemi wyjściami z kościoła tłoczyły się ciekawe głowy zamkniętych, zarzucając pytaniami oficerów, komenderujących wojskiem: „Czego chcą, poco nie puszczają z kościoła modlących się i t. p.“ Odpowiadano, że wszystkim wolny jest wychód, pojedynczo jednak, lecz z zastrzeżeniem, że każdego zaprowadzą do protokołu i jeżeli się okaże niewinny, puszczony zostanie wolno do domu.

„Nie wyjdziemy, tylko razem wszyscy, albo siedzieć tu będziemy aż do dnia sądnego“ — odpowiadano z tłumu.

My tymczasem, akademicy, oraz inna młodzież obchodziliśmy gorliwie wszystkie wyjścia z kościoła, wszystkie korytarze, czy czasem które nie zostało wolne i czy nie będzie można ludu wyprowadzić, ale wszystko na próżno: wojsko otaczało dokoła. Kilka godzin już tak przeszło nam w zamknięciu, parlamentując przez drzwi uchylone z oficerami i żołnierzami. Niektórzy, chcąc skorzystać z pozwolenia,

jakie niby dano do wyjścia, byle pojedynczo, a właściwie przez ciekawość, co się tam dzieje na ulicy, wysunęli się niebaczni za drzwi kościoła: w jednej chwili pochwyceni przez żołnierzy, mimo oporu porwani zostali do zamku; dwóch nawet, którzy, broniąc się, rzucili się na ziemię, ciągniono po brukach za nogi przy krzykach oburzenia całego tłumu. Chcąc nadal tym wypadkom zaradzić, ustanowiona została straż z akademików i innej młodzieży przy drzwiach, aby czuwać nad bezpieczeństwem otoczonych i o każdym niezwykłym ruchu wojska zebranych w kościele zawiadamiać. Obchodząc i szukając przejść tajemnych, wyszliśmy aż na dzwonnicę kościoła, przypatrując się ciekawie miastu. Na ulicach, o ile okiem sięgnąć zdołaliśmy, uwijały się patrole i wojsko; rozpuszczone kozactwo napadało na pojedynczo nawet idących przechodniów i biło niemiłosiernie nahajkami. Zdawało się wówczas, że rząd chciał w całej mocy pokazać rozbujałą siłę swych żołdaków, dozwalając im czynić bezprawia na mieszkańcach Warszawy. Wielu znakomitszych urzędników i starców szanownych zostało napadnięte przez te tłuszcze kozactwa i znieważone nahajkami. Kobiety nawet i dzieci nie wolne były od tego traktamentu. Ulice opustoszały, domy i sklepy zamknięto, tylko czasami brama jaka, ukradkiem otwarta, przepuściła kilka ciekawych głów, które, słysząc nieregularny tentent koni kozackich, chowały się ciągle, rzucając przekleństwa i złorzeczenia. Gdyby nie te chwilowe oznaki życia, zdawałoby się, że w mieście wszyst-

ko wymarło prócz patroli wojska i uganiającego się kozactwa.

Było już koło 2-giej po południu; głód zaczynał nam już dokuczać w kościele, a tu znikąd nadziei jakiegoś pożywienia. Wszystką wodę święconą, jaka była w kościele, wypito, część jej tylko zostawiwszy dla ocucenia mdlejących ze znużenia kobiet. Kobiety, mimo swobodnego i niczem im nie grożącego wyjścia z kościoła za nic nas opuścić nie chciały, podtrzymując nas w wytrwałości i dodając ducha i nadziei. Kilka z pań, wyszedłszy do swych domów, powróciło znów do kościoła niby po swe dzieci, zostawione w świątyni, przynosząc ukrytą pod sukniami żywność, ale było to kroplą w morzu dla zgłodniałej, przeszło 2000-ej ludności. Kilku z młodzieży, odkrywszy wąziutki, jak korytarz, dziedziniec, oddzielający kościół katedralny od kościoła Pijarów, na który wychodziło parę okratowanych okien z cel księży, urządziło z nimi komunikacyę i na sznurku zaczęły się spuszczać ku nam woda, chleb, bułki i t. p. zapasy; na widok tych niespodziewanych darów tłum, jak zwykle, nieostrożny, zaczął wydawać okrzyki radości i głośne wiwaty na cześć Pijarów. Usłyszeli to komenderujący wojskiem i odbiwszy małe drzwiczki, wpadli nagle między krzyczących. Zamieszanie i gwałt wielki powstał między tłumem, zaczęto się cisnąć do kościoła, broniąc przed wojskiem. Część zapasów dostała się w ich ręce. Jednemu młodemu człowiekowi, który po drabinie dostał się do okna Pijarów i nie mogąc wleźć przez kratę, rozmawiał z księżmi, wy-

rwali żołnierze drabinę zpod nóg i ten nieszczęśliwy długo rękami zawieszony na kratach, błagał słabnącym z wysilenia głosem pomocy, aż wpół zemdlony runął na bruki, skąd go żołnierze wynieśli zemdlałego. Co się z nim stało, nie wiadomo. I ta więc ostatnia droga została nam odcięta, sam już tylko kościół ze swoimi korytarzami i salami posiedzeń kanoników, któreśmy odbili, został w naszem posiadaniu.

Tymczasem słońce już zaszło i cienie nocy pokrywać zaczęły dookoła gotyckie wnętrze świątyni. Niepokój zaczynał się wkradać do niektórych trwożliwszych umysłów, głód także i pragnienie zaczęło dokuczliwiej trapić. Ogół jednakże nie tracił wytrwałości i rezygnacyjna odwaga na każdem prawie czole błyszczała. Około 7-ej czy 8-ej wieczorem przybył jakiś wyższy oficer, jako parlamentarz od namiestnika, i zażądał, aby go wpuszczono do kościoła, gdyż ma ważne propozycye od hr. Lamberta przedstawić. Gdy wpuszczono, oświadczył, że namiestnik pragnie jak najłagodniej postąpić i dozwala nie pojedynczo, lecz po 4-ech wychodzić z kościoła.

„A ci, co wyjdą, cóż z nimi zrobią?“—zapytano.

„Będą odprowadzeni do zamku i zapiszą tam ich nazwiska, a później puszczą wolno do domów“— odrzekł parlamentarz.

„Nikogo nie zatrzymają?“—zapytał ktoś z tłumu, patrząc niedowierzająco w oczy oficerowi.

„Nikogo, prócz podżegających do śpiewów buntowniczych“—odparł oficer.

„Tu nie było podżegających; my wszyscy jednakowo winni, my wszyscy tylko modlić się tu przyszli“ — zakrzyczeli zgromadzeni. „Nie wyjdziemy, tylko wszyscy razem, gdy wojsko ustąpi i dadzą zaręczenie, że nie będziemy napastowani po ulicach“! Napróżne były namowy parlamentarza, musiał odejść z niczem. Pozapalaliśmy w kościele, jak i bocznych kaplicach, lampy i świeczniki na ołtarzach, aby nie błąkać się w ciemności. Część ludności, uklęknąwszy przed wielkim ołtarzem, zaczęła śpiewać i modlić się do Boga o pomoc w nieszczęściu.

Parlamentarz znów się zjawił z nowemi propozycyami, powiększając liczbę, jaka naraz może wyjść, do 6-iu i obiecując nawet dla winnych, jeżeli się przyznają do winy, wielką względność namiestnika.

„Tu niema winnych!“ — wołano do parlamentarza przez drzwi kratowe, gdyż do kościoła nie chcieliśmy go wpuszczać, bojąc się jakiego podstępu; mogli bowiem drzwi opanować, tylko więc przez kratową żelazną bramę rozmawiano z wysłańcami namiestnika.

„Panowie akademicy surowo będziecie odpowiadać“ — zawołał, zwracając się do nas kilku, gdyż w owym czasie ja z kilkoma straż przy drzwiach żelaznych trzymałem — „gdyż to wy podburzacie i wstrzymujecie lud, a mianowicie kobiety, od wyjścia z kościoła“.

„Nikogo nie wstrzymujemy“ — odrzekliśmy — „każdy ma wolną wolę, tylko nie chce się narażać

na przechodzenie przez szeregi pijanego żołdactwa. Widzimy dobrze, że wojsko częstowane jest wódką“.

„Wojsko nic nie pije“ — zawołał parlamentarz. „Pozwólcie mi, Panowie, odezwać się do ludu samemu, a ręczę, że wielu, a szczególnie kobiety, wyjdą z kościoła“.

„Mów Pan, mów!“ — odrzekliśmy. — „Prosimy tu bliżej Panie“ — zawołaliśmy do bliżej stojących kobiet.

„Panie! — rzekł oficer — namiestnik przysłał mnie, abym oświadczył, że wszystkie kobiety mogą bezpiecznie udać się do domów z kościoła, do domów bez żadnej odpowiedzialności, pod słowem honoru namiestnika, inaczej mogą być panie narażone na nieprzyjemności ze strony rozjątrzonych żołnierzy, których my nawet wstrzymać nie będziemy mogli. Niech Panie dobry przykład dla mniej upartych pokażą, a to tylko nieszczęście sprowadzicie tym uporem“ — słowem, zachęcał i prosił w jak najwyszukańszy sposób.

„Idź Pan i powiedz namiestnikowi“ — odpowiedziała jedna z kobiet — „że my naszych mężów, synów i ojców nie opuścimy w nieszczęściu. Wyjdziemy tylko razem z nimi, albo z nimi zostaniemy“.

„Tak! Tak!“ — zawołały zebrane panie — „same nie opuścimy kościoła. Nie chcemy, nie chcemy łaski dla nas jednych tylko!“

I znów posłaniec odszedł z odpowiedzią nieprzychylną. Nie przestawano jednak traktować, zwracając się już ze stanowiska religijnego, że my kościół znieważamy przez nieporządek, jaki w nim

zamknięci musimy czynić w tak świętem miejscu. Na ten argument już zabrakło cierpliwości jakiemuś rzemieślnikowi, trzymającemu straż przy bramie.

„My znieważamy kościół!“ — zawołał oburzony. — „My tu przyszliśmy się modlić do Boga, aby nas z nieszczęścia wybawił, a wy heretyki okrążyliście dom Boży sołdatami i trzymacie nas od rana do nocy o głodzie za nasze modlitwy. Wy to Panu Bogu odpowiecie na tamtym świecie.“

„I rzeczywiście na tamtym chyba świecie odpowiedzą, bo tu na nich niema sądu“ — podszepnął któryś.

Noc już nastała głęboka i ciemna, światła w oknach przeciwległych domów pogasły, gdyż tak kazano, lecz za czarnemi tłami okien rozróżnić mogliśmy ciekawe i niespokojne głowy mieszkańców, rysujące się niejasno poza szybami, które ciekawie wpatrywały się w gmach ten wielki katedralnego kościoła, otoczonego dokoła płomieniem rozpalonych ognisk, koło których rozłożyli się oblegający nas żołnierze. Mogliśmy z okien wieżyczek kościelnych rozpoznać, że wszyscy prawie mieszkańcy na całej Świętojańskiej ulicy i Starem Mieście czuwają jeszcze, bo co chwila to okno, lekko odemknięte, rzucało ku nam z ust nieznajomych jakieś niedosłyszane słowa pociechy czy wytrwałości, to postać jakaś kobieca zabielała w oknie, dając nam jakieś niewytłómaczone i ledwie dojrzane znaki. Światła tylko nigdzie już nie było, bo najmniejszy błysk budził zaraz okrzyki gęsto rozprószonej policyi, rozkazującej gasić ogień, a nieposłusznych

wyrywano z domu, prowadząc do więzienia. Ileż to rodzin w tej nocy, burz pełnej, oczekiwało swoich synów, mężów lub ojców? Ileż to matek, przez całą noc skurczonych przy oknie, chwytało każden szelest uliczny, ciesząc się nadzieją lub w jeszcze większą wpadając rozpacz! Wiele bowiem różnych przypuszczeń przewijało się przez głowy nieszczęśliwych, oczekujących na blizkie sercu osoby, więzione od rana w kościele, a między temi i rzeź w kościele przy jakim oporze ze strony zamkniętych nie zdawała się nieprawdopodobną po scenach, jakie się w dzień działy po ulicach Warszawy.

Północ już się zbliżała; znużenie i głód na wielu już twarzach posępną bladością się malowały. Kobiety niektóre upadały zemdlone na stopnie ołtarza, żadna z nich jednak nie myślała korzystać z udzielonej łaski i opuszczać nas na pastwę przemocy. Widząc, że już żadnej niema nadziei, aby wojsko odstąpiło kościoła i że w najlepszym razie przyjdzie nam do rana w murach świątyni pozostać, urządziliśmy straże zmieniane przy wszystkich wyjściach, aby reszta odpocząć w bezpieczeństwie mogła. Dla kobiet, dla pań naszych wyznaczyliśmy prezbiteryum i dwie boczne kaplice na sypialnie, a raczej miejsce spoczynku po całodziennem znużeniu, mężczyźni zaś w reszcie kościoła mieli się mieścić i układać, jak kto mógł i gdzie miejsce znalazł, prócz naturalnie dyżurnych, aby nieprzyjaciel nie wdarł się i na śpiących nie napadł. Uwolniwszy się koło samej północy z dyżuru, poszedłem szu-

kać sobie w kościele miejsca dla spoczynku. Dziwny i fantastyczny jakiś zarazem przedstawiał mi się widok. Ten gmach olbrzymi, na wzór gotycki sklepiony, z ostrołukami i filarami, na których stały rzeźbione posągi, oświecone mdławem światłem lamp i świeczników, skąpo po kościele porozrzucanych, ten wielki, czerwonem suknem okryty katafalk z karmazynowym nad nim namiotem, którego wierzchołek ginął tam gdzieś u szczytu sklepienia, rzucając jakiś krwawy i groźny odblask dookoła; te pomniki i statuy nadgrobne z kararyjskiego marmuru, które zdawały się życia nabierać i dziwnie spoglądać na nowy dla siebie widok, a wokoło snujące się parami, pojedynczo i w grupach postacie uwięzionych, gdy inne znów, podłożywszy płaszcze i okrycia pod głowy, wpół leżący na stopniach ołtarzy i przy grobowcach odpoczywały; kobiety, pozdejmowawszy kapelusze z głów, niektóre z rozplecionymi włosami, zasypiały, oparte o kolana starszych swoich towarzyszek, a wszystkiemu temu towarzyszył jakiś szmer cichy, pełen oczekiwania i niepewności, mieszając się z groźniejszym szczękiem broni, który przez drzwi świątyni dolatywał — wszystko to rzucało umysł w krainę średniowiecznej fantastyczności, nasuwając podania o zaklętych duchach, zebranych o północy w starożytnej świątyni na jakiś obchód z drugiego świata. Położywszy głowę na stopniach owego czerwonego suknem okrytego katafalka, przypatrywałem się temu dziwnie oryginalnemu widokowi z jakiemś niepojętem i nigdy niezapomnianem wrażeniem.

Tymczasem przy drzwiach parlamentowania i namowy odbywały się bez przerwy; grożono wkońcu, że szturmem będą kościół zdobywać. Sprowadzono jakąś deputacyę obywateli z kościoła OO. Bernardynów, gdzie również publiczność modląca się była zamkniętą, aby ta deputacya zaświadczyła nam, iż siłą wojsko weszło do kościoła i wszystkich zabrano. Widząc jednak, że to nic nie pomaga, dano już pokój namowom i udano się po stanowcze rozkazy do zamku.

Po odejściu parlamentarzy uciszyło się wszystko i sen zaczął kleić już moje powieki, kołysząc umysł najdziwaczniejszemi fantazyami — a wtem huk nagły i krzyk zebranych na równe nogi podniósł mnie ze stopni katafalka; nie mogłem jednak chwilowo kroku postąpić, bo wyżej leżący towarzysze, podnosząc się również, jak i ja gwałtownie, zrzucili na mnie jakiś kawał obicia i mnóstwo ciężkich świeczników.

„Drzwi odbijają! Wojsko kościół zdobywa! Rzeź będzie! Bronić się, bronić do upadłego!“ — krzyczano dokoła mnie.

Wydostawszy się na wierzch z pod tych okryć i świeczników ołowianych, ujrzałem dopiero, że drzwi od ulicy zostały zajęte i wojsko stało już poza ażurową z żelaza bramą, najeżone swymi bagnetami; dalej jednak nie postępowało ni krokiem i brama ta kratowa oddzieliła ich od ludności. Po takim gwarze nastąpiła nagle cichość grobowa; każdy czuł, że ważna jakaś, może krwawa nawet chwila jego żywota przybliża się wolnym, lecz nieubłaganym krokiem. Umysły do tego stopnia były roz-

drażnione i poruszone, że nawet przypuszczono, iż wojsko rzeź zrobi w kościele.

Po tej chwilowej ciszy krzyknęło naraz kilka głosów: „Bronić się, bronić!“ i wielu młodzieży uchwyciwszy kije, krzyże i wielkie, metalowe świeczniki, posunęło się ku bramie żelaznej, poza którą błyszczały bagnety. Wojsko jednak nie ruszało się z swojej pozycyi, patrzyło tylko z pewną obawą choć i nie bez złości na tłum zgromadzonych. Rozsądniejsza część publiczności zaklinała, aby nie stawić oporu i nie spowodować rzezi, która wówczas mogła być prawdopodobną. Wielu jednak młodzieży nie rzuciło owych słabych oręży, przyrzekając jednak używać ich tylko do obrony życia, a nie do zaczepki. Kobiety przestraszone latały między nami, błagając o spokój i cierpliwość. Zamieszanie jednak to chwilowe uspokoiło się znowu, nie na długo jednak. Niewielu trwożliwszych biegało w różne strony, szukając ukrycia po korytarzach i chórach kościoła. Ja z kilku akademikami i inną młodzieżą stanęliśmy przy wielkim ołtarzu, uspakajając bardziej wrażliwe kobiety. Naraz rozległ się znów łoskot gwałtowny, a w ślad niego krzyk stłumiony:

„Bramę wybijają, bramę ostatnią wybijają!“

„Bronić się, bronić!“ — wołali gorętsi.

„Spokojności! Czekajmy“ — mitygowali starsi.

Zamieszało się coś przy owej bramie żelaznej i nagle z ogromnym łoskotem rozwarły się rozbite oskardami wrota żelazne. Po tym łoskocie nastała cisza chwilowa, pełna przerażającego oczekiwania, a po niej zaszczękały karabiny i krzyk znów wielki

podniósł się u samego wchodu. Widzieć zaledwie mogłem z przed wielkiego ołtarza, jak coś zakotłowało się, jak w burzy, przy bramie, zmieszało razem, podnosząc kłęby kurzu, a w ślad ich jęki przeciągłe i głosy kobiece: „Zabijają, ranią naszych!“ i kilka z pań, z rozwianym włosem, wbiegło na katafalk, powiewając skrwawionemi chustkami, a za nimi ustępujący tłum wywracał świeczniki katafalkowe, tłocząc się ku nam.

„W dzwony na gwałt uderzyć! — odezwały się jakieś głosy i kilka rąk pochwyciło za sznur od dzwonu. — Dzwonić, to z miasta pomoc nam przyjdzie“ — i głuchy przeraźliwy jęk dzwonu się rozległ.

„Nie dzwonić! Nie dzwonić! — odezwali się starsi — bo się miasto tu zbiegnie i rzeź wielką wywołamy!“

Kilka stojących kobiet rzuciło się ku sznurowi i przecięło go u góry i dzwon zamilkł. Gdyby nie ten rozsądny postępek, kto wie, czyby mnóstwo rzemieślników z Starego Miasta nie przybiegło na ratunek swych braci i czy rzeczywista rzeź by nie wynikła.

„Księdza! Księdza z krzyżem wyprowadzić do wojska: może się wstrzymają żołnierze“ — i w jednej chwili wyprowadzony ksiądz z zakrystyi, odziany w komżę i stułę, szedł, blady, drżącym krokiem, podtrzymywany przez dwie jakieś kobiety, trzymając krzyż oburącz naprzeciw wojsku.

Ja, stojąc przy wielkim ołtarzu z kilkoma, pochwyciliśmy z niego wielkie ołowiane świeczniki, pragnąc przynajmniej drogo sprzedać swoje życie.

Kilku rzemieślników, otaczających nas, zaczęło coś na kartkach zapisywać.

„Co panowie robicie?“ — spytałem.

„Zapisujemy swoje nazwiska, aby wiedziano, kto tu zginął.“

Przyznam się, że niebardzo przyjemne wrażenie wywarła na nas ta odpowiedź. Rzecz się tymczasem wyjaśniła. Nikogo nie zabito, a tylko żołnierze ranili kilkunastu stawiających opór, za co też byli poczęstowani tęgiemi uderzeniami metalowych świeczników.

Uspokojeni przynajmniej na chwilę co do swego losu, oczekiwaliśmy zbliżenia wojska ku ołtarzowi. Przestrzeń już niewielka rozdzielała nas od nich.

„Idą już“ — zawołały stojące przy nas kobiety.

„Mój syn! Mój syn!“ — szepnęła niemłoda już, stojąca przy mnie pani i zsunęła się zemdlona na stopnie ołtarza.

Nie miałem jednak czasu ją ratować, bo nagle schwycony zostałem przez jakąś kobietę, która zarzuciła mi swoją chustkę, szepcząc mi do ucha:

„Ukryj Pan swój kołnierz! Akademików przedewszystkiem wyszukują w tłumie“.

„Zrzuć Pan mundur! Mundur Pan zrzuć!“ — szepnęła druga.

A nim się obejrzałem, już wraz z dwoma drugimi kolegami byłem bez munduru, a kołnierz paltota okryty był jakąś ciemną chustką. Schowawszy czapkę do kieszeni, czekałem w niepewności dalszego losu. Wojsko było już tylko o kilka kro-

ków; nas jednak jeszcze nie widziano, bo otoczeni byliśmy wkoło podwójnym szeregiem kobiet.

„Niech się panie rozsuną; tam w środku są mężczyźni, a może nawet akademiki“ — zawołał jakiś oficer po polsku.

„Tu niema akademików, to nasi synowie, młodzi, my ich nie damy“! — krzyczały odważnie kobiety, ściskając się silniejszem kołem wokrąg nas.

„Niech panie się rozstąpią, bo każę wojsku iść naprzód“ — zawołał oficer.

Nie chcąc narażać nasze szlachetne damy na gburowatość żołnierzy, wystąpiliśmy sami, oddając się w ręce oficera. Otoczył nas szereg wojska, popychając ku wyjściu i łącząc z innymi aresztowanymi. Co kilka kroków przypadał jakiś adjutant, szukając między szeregami prowadzących, czy niema gdzie akademików. Ale dzięki przebraniu nie byliśmy jeszcze poznani. Postępowaliśmy tak wolnym krokiem ku drzwiom kościoła, podzieleni na małe grupy aresztowanych, z których każda oddzielnym szeregiem żołnierzy była pilnowaną. Po wszystkich zaułkach tymczasem kościoła rozbiegło się wojsko i policya, szukając ukrytych po chórach i korytarzach, sprowadzając ich do kościoła, co nie obeszło się bez bicia. Kilkunastu jednak bądź lepiej ukrytych, lub też poprzebieranych w kobiece okrycia uszło oczu policyi.

Zbliżaliśmy się ku drzwiom głównym kościoła. Szczęśliwy, że przebranie tak mi się udało, postępowałem spokojnie między bagnetami, a wtem, gdym już próg kościoła przestępował, wiatr silny, na prze-

strzał wiejący, zerwał mi niedobrze zawiązaną chustkę, okrywającą kołnierz mundurowego paltotu.

„Wot akadjemik, akadjemik! — wrzasnął jakiś głos za mną — *chwatať jewo, chwatať, a to ujdiot“* — i w jednej chwili kilka rąk sołdackich schwyciło mnie za ramiona, za kołnierz i piersi i wyprowadzono mnie z grona towarzyszy, którzy, szczęśliwi, nie zostali poznani. Niesiony prawie w powietrzu, gdyż bardzo się obawiano, abym w tłumie nie zniknął, postawiony zostałem w kruchcie kościoła za potrójnym szeregiem wojska, gdzie już trzech kolegów, także na nieszczęście odkrytych w tłumie, oczekiwało.

„I ciebie też odkryli! — rzekł S. — Źle nam się pewnie dostanie, bo nas tu za podżegaczy uważają“.

„Ej, cóż nam mogą zrobić za modlenie się w kościele?“ — odrzekłem, uspokajając ich, choć sam nie byłem spokojny.

„Gdzie akademiki?“ — odezwał się jakiś głos groźnie.

„Wot zdjeś“ — pokazano na nas.

„Ach, to wy, buntowniki“? — zawołał zapieniony od złości.

Podnieśliśmy oczy, stał przed nami jakiś jenerał; jak się dowiedzieliśmy, był to jen. Chrulew.

„Znajetie wojennoje położenie? Wam wsiem 4-om kak zaczinszczikam (podżegaczom) *puleju w łob piered cerkowju, siejczas rozstrelaju miatieżnikow* — i wyleciał, krzycząc, z kościoła.

Popatrzyliśmy na siebie, w milczeniu rozważając, wierząc i nie wierząc jego słowom.

„Niepodobna — rzekłem do posmutniałych troszkę kolegów — aby za śpiewy w kościele mieli nas rozstrzeliwać“.

„Ale czas wojenny i oni mówią, żeśmy kamieniami ranili żołnierzy, że był opór“.

„To kłamstwo, niczego nam nie dowiodą i dowieść nie mogą“.

„Czyż im trzeba dowodów?“ — szepnął któryś.

„Nie, to nie może być; rozstrzelać nie rozstrzelają, ale mogą gdzie wysłać daleko“.

I zamyśliliśmy się głęboko. Żołnierze tymczasem pocieszali nas, żeby się nie obawiać, bo nas nie rozstrzelają, a tylko przez rózgi przepędzą i do wojska w sołdaty oddadzą — pocieszenie niebardzo pocieszające. Przed naszemi tymczasem oczami przeciągały powoli szeregi aresztowanych, wybladłych i znękanych nocą bezsenną i niepewnością położenia. Wkońcu i nas wyprowadzono przed kościół.

Było już koło 3-ciej po północy; ogień z biwaków żołnierskich oświecał słabo ciemne mury kamienic ulicy Św. Jana, rzucając na nich krwawy odblask; okna wszystkie, choć ciemne, bielały jednak natłoczonemi za niemi postaciami, ciekawie przypatrujących się tym nocnym wypadkom. Główna, a raczej prawie cała liczba aresztowanych popędzona została, umyślnie używam tego wyrazu „popędzona“, do cytadeli, zmuszona stosować swe kroki do lekkiego kłusu koni kozackich. Opieszałym lub osłabionym dodawano energii i siły nahajkami lub drzewcami pik kozackich. Przy segregowaniu

na partye kolby od karabinów żołnierskich grały także swoją rolę, jak to wszystko od samychże okolbowanych i znahajkowanych słyszałem.

Nas zwrócono ku zamkowi. Kilkanaście zaledwie uszliśmy kroków, jak szereg stojących przed zamkiem żołnierzy rozwarł się i wprowadzono nas do grona kilkudziesięciu kolegów, również przy rewizyi ściślejszej rozpoznanych. Ujrzawszy się w tak licznem gronie, inny zaraz duch wstąpił we mnie. Jakoś raźniej nieszczęście przenosić w wesołej kompanii. O rozstrzelaniu naturalnie już nie myśleliśmy, lecz oddanie w sołdaty drażniło naszą wyobraźnię jako prawdopodobna przyszłość. Umieszczeni zostaliśmy wszyscy akademicy i inni, uważani za podżegaczy, w zamku królewskim w jakiejś niewielkiej izbie z okratowanem oknem, w drugiej zaś izbie stała nasza straż, złożona coś ze 40 żołnierzy. Było nas wszystkich około 50 czy 60, znaczną większość stanowili akademicy.

Zaraz po naszem zainstalowaniu w zamku wpadło kilku wojskowych dla spisania naszych nazwisk, zapowiadając, że oddani zostaniemy pod sąd wojenny, i grożąc ciężkiemi karami, a nawet rozstrzelaniem winniejszym; ale niewiele już uwagi zwracaliśmy na te groźby. Jeden tylko między nami, oficer w czynnej służbie, Polak do tego, który z narzeczoną przyszedłszy do kościoła, został także złapany i mimo przebrania poznany, pogrążony był w czarnych myślach nad swym losem. I jemu rzeczywiście rozstrzelanie, a najmniej już degradacya w sołdaty groziła. O ile jednak przypominam sobie,

to podobno zdołał zemknąć, będąc puszczonym na porękę, i walczył później w powstaniu. Kilka razy przychodzili ze spisywaniem nazwisk i rachowaniem, ilu nas jest, i zawsze takie popełniali omyłki panowie oficerowie, w czem im szczerze dopomagaliśmy, że za każdym razem to kilku więcej, to znów kilku mniej się okazywało, od czego w głowę zachodzili, bo uciekać otoczonym murami i wojskiem było niepodobna. Co parę godzin nas rachowano i zawsze inna liczba wypadała, tak, że ledwie w końcu drugiego dnia zdołali to wszystko skombinować i ostatecznie w nocy już nas policzyć. Tegoż dnia rano przyprowadzili do nas paru aresztowanych z ulicy za jakieś drobiazgi; między innymi jakiegoś podeszłego już człowieka, urzędnika z poczty, który, spodziewając się natychmiastowego puszczenia, pobrał od nas karteczki do domu z zawiadomieniem, gdzie jesteśmy, i prośbą o przysłanie nam ciepłej odzieży, co wszystko sumiennie uskutecznił.

W Warszawie tymczasem jak najrozmaitsze wieści krążyły o losie, jaki nas, akademików, spotkał, gdyż nie wiedziano, gdzie się znajdujemy. Wszystkich bowiem aresztowanych odesłano do Cytadeli i pozwolono z nimi się widywać; gdzie zaś myśmy zostali zaprowadzeni, nikt nie wiedział i dopytać się od władz nie mogli.

Na drugi dzień po północy wyprowadzono nas z zamku i otoczonych podwójnym szeregiem wojsk i kozaków poprowadzono do Cytadeli. Pomimo tajemnicy, z jaką robiono nasze przeprowadzenie, w wielu jednak oknach widzieliśmy białe postacie

kobiet, przypatrujące się nam i czyniące nad nami znaki krzyża. Wprowadziwszy nas do Cytadeli, ustawiono na placu, gdzie przez całą noc do samego rana musieliśmy czekać na chłodzie październikowym, aż się pan komendant zechce obudzić. Szczęśliwi, co otrzymali ciepłe ubranie z domu, lecz tych było niewielu; większa część dygotała, szczękając zębami od zimna. Nareszcie pan komendant obudził się i zostaliśmy wprowadzeni do jakiejś wielkiej izby koszarowej z powybijanemi oknami, w których tylko kraty wstrzymywały pęd wiatru. Jeść nam ogromnie długo nie dawano, bo na parę tysięcy aresztowanych, niespodziewanie wprowadzonych do Cytadeli, nie mogli nastarczyć gotować. Przyniesiono nareszcie obiad (śniadania niema zwyczaju dawać) w szaflikach, składający się z jakiejś mętnej wody, zasypanej trochą kaszy ze słomą, obficie pływającą, i na patykach pozasadzane mięsa, które żołnierz swemi łapkami bez talerzy rozdawał. Choć głód nie jest wybredny, jednakże szaflikowe danie pozostało prawie nietknięte i rzucono się do mięsa dla zaspokojenia olbrzymiego apetytu. Nikomu z nas przez parę dni nie pozwolono się widywać; byliśmy pod jaknajściślejszą strażą. Po kilku dniach jednak rygor ten zwolniał znacznie, a później i ustał zupełnie. Zaczęły się odwiedzania szlachetnych naszych Polek, które tłumnie, karetami i pieszo, ciągnęły do Cytadeli jak na odpust jaki, zasilając nas pocieszającemi nowinami i wiktuałami, które nam o stole więziennym kazały kompletnie zapomnieć. Dowiedzieliśmy się od pań nas

odwiedzających, którym dozwolono, stojąc o kilkanaście kroków od okna, rozmawiać z nami, że kościoły w całej Warszawie zostały zamknięte z rozkazu administratora archidyecezyi warszawskiej, prałata Białobrzeskiego, aby nie narażać domów Bożych na powtórne ich znieważenie przez wojska, że nas wszystkich wkrótce uwolnią, bo taki przyszedł rozkaz z Petersburga i t. p. Oficerowie, asystujący przy tych rozmowach, byli w ciągłych opałach, bo z jednej strony zabronione mieli od swej władzy jaknajsurowiej, aby o wiadomościach z miasta nie mówiono, a tu znów nie chcieli się pokazać w roli surowych i nieubłaganych argusów przed pięknemi Warszawiankami, które zręcznie umiały powiedzieć, co chciały, używając czasem dziecinnej niby naiwności dla oszukania baczności, jak np. jedna z młodych pań, której zabronił oficer wspominać o wypadkach miejskich, zaczęła, podnosząc głos, wypytywać go się:

„A czy można powiedzieć, panie oficerze, że kościoły wszystkie zamknięte?“

„A nie, nie! Czego pani to mówi?“

Zaczęła przeto rozmawiać z nami o potocznych rzeczach, a po chwili znów do oficera:

„A czy można powiedzieć, panie oficerze, że jen. Gerstenzweig w łeb sobie strzelił wczoraj z rozpaczy, że namiestnik kazał wypuszczać z Cytadeli?“ i t. p.

O śmierci jen. Gerstenzweiga, gubernatora wojskowego Warszawy, różne chodziły pogłoski; że sobie odebrał życie, to nie ulega żadnej wątpli-

wości, o powodach zaś dużo było pogłosek; najprawdopodobniejszą, a przynajmniej najczęściej powtarzaną jest następująca: Miała być kłótnia żywa między namiestnikiem a Gerstenzweigiem o zamknięcie kościołów, któremu przeciwny był Lambert, i tylko przez niego podburzony, krok ten uczynił, a następnie o surowe postępowanie z więźniami, które Lambert łagodził, mimo przyjętych niby zobowiązań na radzie wojennej, aby całego rygoru stanu wojennego użyć na wziętych w kościele. A gdy jeszcze Gerstenzweig, jadąc do Cytadeli, zobaczył tłumy wypuszczonych więźniów, wracających swobodnie do Warszawy, z rozkazu namiestnika, wpadł do zamku, przemówił za ostro do Lamberta, z czego miał wyniknąć pojedynek angielski [1]) przez wybranie losów, kto się sam zastrzeli, gdyż takie osoby pojedynku zwykłego, w owych szczególnie czasach, odbywać nie mogły. Los przyniósł śmierć Gerstenzweigowi. Taka chodziła pogłoska po Warszawie, ale trudno się prawdy dowiedzieć; piszę tylko to, co najsilniej po Warszawie kursowało, nie ręcząc wcale za autentyczność lub nawet prawdopodobność tego tajemniczego faktu. Takie to mniej więcej rzeczy działy się w Warszawie, gdy nas trzymano w więzieniu.

W kilka dni po przyprowadzeniu nas do Cytadeli zabrano z grona naszego 9-iu czy 10-iu akademików, po większej części mojżeszowego, a przy-

---

[1]) Raczej amerykański. Przyborowski, Historya dwóch lat, III, 384 *(P. w.)*.

najmniej niekatolickiego wyznania i osadzono ich w X pawilonie jako niby najwinniejszych. Na jakiej podstawie uznano ich za więcej winnych od nas, tegoby i najbieglejszy prokurator nie objaśnił; dość na tem, że ich badano, sądzono i skazano w Sybir. Odprowadzałem ich wraz z kilku innemi osobami aż do Łomży. Wszędzie po drodze byli przyjmowani jak niewinne i szlachetne ofiary przemocy wspólnej sprawy, poświęcające się za współbraci. Za przyjazdem jednak na namiestnikowstwo w. księcia Konstantego zostali zwróceni z drogi, nie doszedłszy do Sybiru; kilku jednak, nie spodziewając się tak prędkiego zmiłowania, uciekło z Kazania przez Konstantynopol do Francyi.

My tymczasem siedzieliśmy parę tygodni, odwiedzani przez niezmordowane i pełne poświęcenia Warszawianki, aż nareszcie, po zdjęciu z nas protokołu i przyrzeczeniu, że do żadnych manifestacyi należeć nie będziemy, puszczono nas do domu.

(„Notatki do pamiętników" — Władysław Daniłowski — Kraków, 1908.)

Bracia!

Zbliża się rocznica powstania Listopadowego w obecnym stanie kraju największego narodowego Święta. uczcić ją więc powinniśmy na całym obszarze dawnej Polski w ten sposób, że zebrani u ogniska domowego w gronie rodziny przepędzimy tę uroczystość na rozpamiętywaniu wielkiego aktu narodowego.- Poświęcenia. błędy i zawody przeszłe posłużą nam za wskazówkę na przyszłość, kiedy w piersi narodu zagrzmi wielkie „Stań się." Niechaj Ojcowie rodzin, Majstrowie, Przełożeni zgromadzą w około siebie swoich podwładnych i wytłomaczą im znaczenie narodowej pamiątki.

Uroczysta cisza powinna zapanować w całym mieście. i pokazać wrogom, że umiemy być w danym razie cierpliwi i rozważni. a zawsze wytrwali.- Każda nowa w tej chwili ofiara byłaby zbytkiem, a więc grzechem.. (W miejscach gdzie kościoły pozostały otwarte oprócz tej domowej uroczystości odbędą się solenne nabożeństwa.)—


HISTORIA
PAMIĄTKI
NAR. POLS.
1861.
WOLNOŚ
EUROPA
Mlodziez męzka prywatnie
w Zakładach naukach i w domach
Rodzicielskich kształcąca się, zapra-
sza RODAKÓW na Nabo-
żeństwo błagalne za pomyślność
Ojczyzny, odbyć się mające w Koście
le Swiętego Krzyża, w niedzielę dnia
13: Października r. b. o godzinie 8 mej.
rano.

†

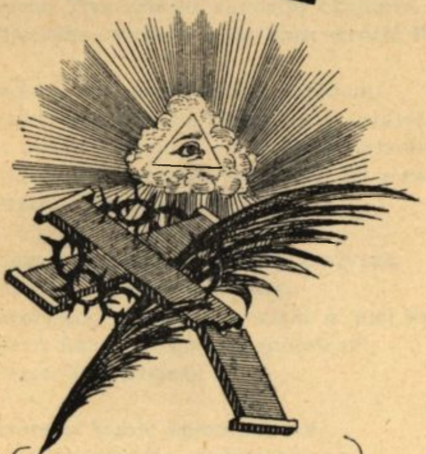
LITERACI i ARTYŚCI
POLSCY

Zapraszają Rodaków na Nabożeństwo za pomyślność Ojczyzny odbyć się mające w dniu 2 Października r. b. o godzinie 11 z rana w Kościele Księży Pijarów.

Wszystkie illustracye, zamieszczone w książce niniejszej, zarówno jak „Śpiewy nabożne z 1861 r.“, pochodzą ze zbiorów D-ra Wacława Męczkowskiego.

Spis rzeczy.

ŚPIEWY NABOŻNE POLSKIE



1861

Zeszyt pierwszy

MODLITWA za OJCZYZNĘ.

[dawny tekst.]

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją zasłaniał tarczą Twej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją chciały —
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!

Ty, któryś potem tknięty jéj upadkiem,
Walczących wspierał za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć jéj męztwa świadkiem,
W nieszczęściach samych pomnażał jej sławę —
Przed Twe ołtarze i t. d.

Wróć naszéj Polsce świetność starożytną,
Użyźniaj pola, spustoszałe łany,
Niech szczęście, wolność na wieki w niéj kwitną,
Poprzestań karać — Boże zagniewany!
Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże, którego ramię sprawiedliwe
Żelazne berła władców świata kruszy,
Zniwecz tych wrogów zamiary szkodliwe,
Obudź nadzieję w biednéj naszéj duszy
Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże najświętszy! przez Twe wielkie cudy
Oddalaj od nas klęski, mordy, boju
Połącz wolności węzłem Twoje ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju,
Przed Twe ołtarze i t. d.

MODLITWA za OJCZYZNĘ.

[nowy tekst.]

Boże! coś Polskę przez tak długie wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Twej opieki,
Gdy nasze hufce wrogów poskramiały —
Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!

Panie, coś tknięty skrzywdzonéj klęskami
Wiódł męczenników dla jéj świętéj sprawy,
Coś nam pomiędzy innemi ludami
Dał sztandar męztwa nieskalanéj sławy!
Przed Twe Ołtarze i t. d.

Twoja odwiecznie sprawiedliwa ręka,
Co marną pychę władców świata kruszy,
Choć wróg nikczemnie morduje i nęka,
Niech tchnie otuchę w każdéj polskiéj duszy,
Przed Twe Ołtarze i t. d.

Niech krzyż, co w dłoni Kapłanów zelżyli,
Wytrwałéj mocy w cierpieniu udziela,
Niech przejmie wiarą, gdy będziem walczyli
Że po nad nami tchnienie Zbawiciela!
Przed Twe Ołtarze i t. d.

My wszyscy w Imię Twego przykazania
Wszak się serdecznie zbrataliśmy z sobą
O przybliż Panie! chwilę zmartwychwstania,
Obdarz wolnością złączonych żałobą!
Przed Twe Ołtarze i t. d.

Wróć naszéj Polsce świetność starożytną,
Wejrzyj na pola, krwią przesiąkłe łany,
Szczęście i spokój niech i nam zakwitną,
Przestań już karać, Boże zagniewany!
Przed Twe Ołtarze i t. d.

PIEŚŃ DO MATKI BOSKIEJ.

Matko Chrystusa, Najświętsza Maryja
Z jękiem przychodzim do Twego ołtarza,
Lud Twój bezbronny dziki wróg zabija,
Rąbie krzyż Pański, Twój obraz znieważa.

Twojéj litości błagamy ze łzami,
O Matko Nasza ujmij się za nami!

Na Jasnéj Górze ukoronowana,
Królowo Polska, zwróć na nas Twe oczy,
Za nasze grzechy przebłagaj gniew Pana,
Ofiaruj krew tę, którą wróg z nas toczy!

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

Choć srogie jarzmo zgniotło karki nasze,
W sercach jest miłość, nadzieja i wiara,
Odkryjem piersi na strzały, pałasze,
Niech nam ojczyznę okupi ofiara!

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

Tyś w Częstochowie, Święta nasza Pani,
Broniła lud Twój od potęgi Szweda,
Dziś, gdy nas gnębią Moskiewscy tyrani,
Niech że Twe ramię Polsce upaść nieda!

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

W Bogu nadzieja nasza i obrona,
I w Twéj przemożnéj Maryjo przyczynie,
Przy Twéj pomocy jeden stu pokona,
Ustąpią wrogi i Polska niezginie.

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

W innych narodach, w których wolność świeci,
Obudź współczucie nad nieszczęsnym ludem,
O Matko! Matko! wysłuchaj twe dzieci,
Wskrześ nam Ojczyznę jakimkolwiek cudem!

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

Gdy Pan zastępów tarczą nas osłoni,
Powstanie Nasza Ojczyzna kochana,
Dźwignie się silna z nieszczęść swoich toni —
I będzie chwała imieniowi Pana.

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

Wtedy w świątyniach, zkąd żałosne pienia
Ze łzami dzisiaj wznoszą się do Ciebie,
Zabrzmią radośne hymny dziękczynienia,
A nasi święci powtórzą je w niebie.

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

Chwała, cześć Bogu w Trójcy jedynemu,
Ojcu, Synowi, Duchowi Świętemu,
Sława Maryi, bo dla Jéj przyczyny,
Bóg Miłosierny odpuści nam winy.

Twojéj litości błagamy ze łzami i t. d.

OJCZE NASZ.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Ciebie z pokorą błagamy,
Ratuj Ojczyznę w potrzebie,
Wsparcia Twojego czekamy!

Święć się Imię Twoje wszędzie,
Nasz Stwórco, Ojcze i Panie,
Niechaj Polska wolna będzie,
Wysłuchaj nasze wołanie!

Panie, przyjdź Królestwo Twoje,
Rozrządzaj sercy naszemi,
Daj nam zawsze łaski Swoje
Wszakżeśmy dziećmi Twojemi!

Niechaj będzie Twoja wola,
Jak w niebie tak i na ziemi,
Lecz ciężka nam ta niewola,
Której, zniesienia żebrzemy.

A chleba nam powszedniego,
Daj dziś, o Panie prosiemy,
Wszak my nie chcemy cudzego,
Niech tylko swoim żyjemy.

Daj nam go dziś i zawsze,
A my wiecznie będziem chwalić
Twoje Rządy najłaskawsze,
Lecz tylko racz nas ocalić!

I odpuść nam nasze winy,
Bo my wrogom odpuszczamy,
Niech tylko z naszéj krainy
Wyjdą, o to Cię błagamy.

Nie wódź nas na pokuszenie,
Obce zdobywać narody,
Daj nam własne wyżywienie
I wewnętrznéj udziel zgody.

Ale nas zbaw odezłego
Od niewolniczéj sromoty,
Od zdrajców kraju naszego,
Daj bojaźń Bożą i cnoty! —

PIEŚŃ na BOŻE CIAŁO.

Boże w dobroci nigdy nieprzebrany,
Podnosim ręce okute w kajdany
I wielkim głosem błagamy Cię, Panie,
Z grobu niewoli daj nam zmartwychwstanie.

Bo cierpień naszych przebrała się miara
I już nam żadna niestraszna ofiara,
Pójdziem na katów bagnety i noże,
Tylko wolnymi daj nam zostać — Boże! —

Wszak Ojce nasi, w krwi swojej purpurze,
Z piersi swych krzyża zrobili podmurze,
W skrzydlatych zbrojach szli z wrogiem na boje
I na swych szablach nieśli imie Twoje. —

Czemuż więc Panie ludu twego Syny
Na dopust strasznej skazałeś godziny,
Czemu poddałeś wierne swoje sługi
Temu, co krzyż Twój biczuje raz drugi?

Bo jeśli kiedy zgrzeszyliśmy, Boże,
To krwi męczeńskiej wyciekło już morze,
W świątyniach Twoich płyną łzy niewieście,
Boże karzący zlituj się nareszcie!

Zlituj się, usłysz w błękitów Twych niebie,
To Naród Polski woła tak do Ciebie,
Z win odkupioną, w ofiar krwi skąpaną,
Ojczyznę naszą wróć nam ukochaną! —

ŚPIEW DO BOGA.

Boże Ojcze! Twoje dzieci,
Płaczą, żebrzą lepszej doli,
Rok po roku marnie leci,
My w niewoli, my w niewoli.

Słowa Twoje nas uczyły,
Każdy włos nasz policzony —
Boże! policz te mogiły,
Te płaczące matki, żony!

My już tyle krwi przelali,
Że nią zmyte ojców grzechy,
My już tyle łez płakali,
Że nie stanie łez pociechy.

Boże patrz — my na kolana
Ścielem Ci się dziś w pokorze
Polska łzami, krwią skąpana,
Krwią i łzami, wskrześ ją, Boże!

A gdy będzie już swobodna,
Gdy nam łzy przestaną płynąć,
Tobie chwała Bogu godna,
Żeś nam nie dał marnie zginąć.

Że tak będzie, serce czuje,
Dusza myślą w Niebo wzlata,
Polskę naszą Bóg miłuje
I wskrzesi ją w krótkie lata.

PIEŚŃ DO SERCA PANA JEZUSA.

Z tėj naszej nędzą ściśnionej ziemi
W niebo się wznosi błagalny jęk,
O nie gardź Panie modły naszemi,
Przyjmij łaskawie tej pieśni dźwięk!
Bo tylko w Tobie nam biednym lśni
Promień nadziei w te smutne dni.
Serce Jezusa, błagamy Ciebie,
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw!

Niech się Twe serce wzruszy, o Panie,
Widokiem tylu bolesnych ran,
Wstrzymaj, ach wstrzymaj dalsze karanie
Tyś taki dobry Ojciec i Pan!
O nie odrzucaj modlitwy tej,
Bo miłosierdzia błagamy w niėj
Serce Jezusa, błagamy Ciebie,
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw!

Bo prawda, Panie, żeśmy zgrzeszyli,
Że winy nasze bez liczby są,
My na Twą litość nie zasłużyli,
Lecz Ty nie gardzisz pokuty łzą.
A my ze łzami łączymy krew,
Aby Twój Boski przejednać gniew.
Serce Jezusa, błagamy Ciebie,
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw!

Dzisiaj w żałobę naród przybrany
Korzy się, Panie, do Twoich stóp,
Jezu Ty widzisz łzy, krew, kajdany
I świeży jeszcze męczeński grób.

O my cierpimy tak długo już
Niewoli naszej okowy skrusz.
Serce Jezusa, błagamy Ciebie,
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw!

Panie! my zemsty wcale nie chcemy,
Za wrogów naszych błagamy Cię,
My tylko jarzmo zrzucić pragniemy,
Pod którem serce tak krwawi się.
O dobry Jezu, błogosław im,
Ale walcz za nas orężem Twym,
Serce Jezusa, błagamy Ciebie,
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw!

Maryo, Królowo Polskiej Korony,
Zobacz, jak cierpi wierny Twój lud,
Jak rzewnie Twojej wzywa obrony,
Ach miłosierdzia uproś nam cud!
Przez czyste serce tej Matki Twej,
Przez miecz, co dusze, przeszywa Jéj,
Serce Jezusa, błagamy Ciebie,
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw!

CHORAŁ.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniéj
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

Ileż to razy Tyś nas nie smagał
A my nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: „On się przebłagał,
„Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan“.
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg,
I śmiech nam rzuca, jak głaz na piersi:
„A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?“

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak.
Cicho i cicho... pośród błękitu
Jak dawniej buja swobodny ptak.
Owóż w zwątpienia strasznéj rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce,
Sądź nas po sercu, nie według słów!

O Panie! Panie! ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas,
Syn zabił Ojca, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.

Ależ o Panie! oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.
Inni szatani byli tam czynni —
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak leśni ptacy,
Co lecą spocząć, wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń Ojcowską dłonią,
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,
Niech kwiat męczeński uśpi nas wonią,
Niech nas męczeński otoczy blask!

I z Archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy wszyscy na krwawy bój,
I na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięzki Twój!
Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest;
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca,
Odpowiedź naszą: „Bóg był i jest!“

MODLITWA
do Matki Bożej.

O Matko Boża! spojrzyj nam w źrenicę,
Jak w niej łza bólu i sieroctwa świeci,
W tę ziemię, naszą wielką pokutnicę,
W niej na męczeństwo wiernych Tobie dzieci
Zimno i ciemno gnębi nas z północy,
O Matko Boża, udziel nam pomocy!

O Matko Boża! spojrzyj w nasze pola,
Co muszą obcych karmić swojem ziarnem,
Na sioła, miasta, jaka w nich niedola,
Jak wszystko w trwodze i zwątpieniu marnem
Wygładź zwątpienie i odejmij trwogę
O Matko Boża, wskaż zbawienia drogę!

O Matko Boża, święta nam Królowo,
Coś tak bolała kornie u stóp krzyża,
Na którym syn Twój za nas łożył głową,
A tłum niewiernych krzyż ten dziś poniża
I gardzi naszej modlitwy słowami —
O Matko Boża, zlituj się nad nami!

O Matko Boża, co od lat tysiąca
Wiodłaś na boje wciąż Polskich rycerzy
W szczęku oręża pieśń o Tobie brzmiąca
Budziła zapał i męztwo młodzieży.
Zawsze ta sama, jak byłaś przedwieki,
O Matko Boża, udziel nam opieki!

O Matko Boża, Pani po nad Pany,
Do Ciebie władcy nieśli korne modły,

Za siebie, za kraj, za lud im oddany,
A ich zamiary zawsze się powiodły.
I dziś za nami rzekną w niebie słowo,
O Matko Boża, wszech światów Królowo!

O Matko Boża, gołąbko Syonu,
Bielsza nad listki w lilijowym kwiecie,
Zorzo wolności, co z Bożego tronu
Roznosisz odblask cnót po całym świecie,
Jakoby światło po nad błyskawicą,
O Matko Boża, Najświętsza dziewico!

O Matko Boża, z koroną gwiaździstą,
Co weszłaś do nas słońcem nowéj wiary,
Spłoń po nad nami tęczą promienistą,
Na znak, że przyjął Bóg nasze ofiary,
W serca nam wstąpi nadzieja gorętsza,
O Matko Boża, Dziewico Najświętsza!

PIEŚŃ DO ZBAWCY ŚWIATA.

Ciągle z pokorą, z pokorą jedną
Płynie codziennie do Ciebie śpiew,
Boże o Boże! nad Polską biedną
Twój sprawiedliwy zabłysnął gniew.

Tyś sprawiedliwy Panie! o Panie!
Nasze cierpienia widzisz i znasz
Niechaj to wspólne nasze wołanie
Dojdzie do Ciebie, o Zbawco nasz! —

Ile ran Panie zadano Tobie
Wpośród szatańskich, dręczących prób,
Tyle dziś ofiar zamyka w sobie
Świeżo wzniesiony męczeński grób.

Ileś wydeptał cierni i głogów
Głosząc nowego zakonu chrzest,
Tyle zabitych dzisiaj od wrogów
I zamęczonych w kajdanach jest.

O! tak, nasz Zbawco, Polska w okowach,
W cierniach katuszy, w niemocy swéj,
Wśród nieprzyjaciół w bluźnierczych słowach,
To krzyż Golgocki męczarni Twéj.

Dziś się w niej iskra żywotnej siły,
Wpośród dręczących boleści, tli,
Serca Polaków dziś się złączyły,
W Tobie nadzieja i pomoc lśni.

Teraz szukając ulgi u Ciebie,
Dzisiaj kołaczem w modlitwach swych,
Dzisiaj prosimy Ojca na Niebie
W Twojem Imieniu dla zasług Twych.

Przepuść nam grzechy, sędzio łaskawy,
Wolność Ojczyzny na zawsze wróć,
Wspieraj, o wspieraj Polaków sprawy,
Wznieś poniżonych, a pysznych zruć.

Nie daj upadać w dzikiej rozpaczy,
Z nami bądź zawsze i wojuj sam,
Ale nie karaj naszych siepaczy,
Oni nie wiedzą, co czynią nam!

Zawsze z pokorą, z pokorą jedną,
Wznosim do Ciebie codzienny śpiew,
Zmiłuj się, zmiłuj nad Polską biedną,
W błogosławieństwo swój przemień gniew!

Amen! —